

TRYBUNA LUDU

wydanie

Nr 391 z dn. 9. XII. 63

TEATR

„Rewizor” i nasiadówki

Mikołaj Gogol: „Rewizor”. Przekład: Julian Tuwim. Reżyseria i scenografia: Józef Szajna. Premiera w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie.

Z wielkim zainteresowaniem oczekiwaliśmy premiery „Rewizora” w Nowej Hucie. Miał to być przecież spektakl programowy, wytyczający dalszy kierunek rozwoju tej sceny. Przedstawiał się nim nowy dyrektor Teatru Ludowego, wybitny scenograf Józef Szajna, w podwójnej tym razem funkcji: jako dekorator i reżyser w jednej osobie. Dzieje teatru znają piękne przykłady sukcesów wielkich pisarzy, którzy podejmowali się kierownictwa swej sceny, sami reżyserowali swoje i cudze sztuki. Niekiedy stawali także na czele teatrów scenografowie. Silna indywidualność twórcza może narzucić swój styl, swoje widzenie świata, swoje pojmowanie sztuki całemu zespołowi. Tego pragnie Józef Szajna i dlatego pewno nie poprzestaje na scenografii, pragnie także reżyserować, być alfa i omegą całego przedstawienia, wypowiedzieć się najpełniej w swoim teatrze.

Przedstawienie „Rewizora” miało być manifestem artystycznym nowej dyrekcji. W programie pisze Szajna: „Chcę traktować Gogola tak jak np. Majakowskiego, a kształt sceniczny uzyskać wychodząc od spraw ku poetyce, a nie na odwrót. Dla wydobycia pełnego obrazu tych spraw realizacja nasza przebiega kilkoma „kanałami” równocześnie i widziana jest jak gdyby z różnych na raz perspektyw. Wspólnym ich mianownikiem jest nasze spojrzenie na etykę współzycia społecznego”. Brzmi to wszystko dość mętnie. Ale nie słowa są w teatrze najważniejsze, lecz czyny. Spróbujmy więc skonfrontować te programowe wywody z tym, co dzieje się na scenie.

Dzieje się tam bardzo niedobrze. Z „Rewizora” prawie nic nie zostało. Genialna satyra Gogola, jego zjadliwy śmiech, gryząca ironia, pozbawione zostały oparcia i zawisły w próżni. Siłą „Rewizora” jest jego konkretność. Sztuka uderza w określone zjawiska, określonych ludzi, określone czyny. Rozgrywa się w określonym świecie, na określonym tle. Tego wszystkiego nie ma w Nowej Hucie. Nie żeby Szajna usiłował aktualizować „Rewizora” i czynić z niego Majakowskiego, przenosząc akcję komedii w nasze czasy. Nie podobnego. Po prostu reżyser i scenograf wyabstrahował dzieło Gogola z jakiegokolwiek konkretności oby-

czajowej, społecznej, psychologicznej. Pozostały na scenie dziwne postaci, prawie kukły, na tle abstrakcyjnych kompozycji plastycznych, chwilami nawet bardzo pięknych. Pozostał popis malarza, który nie potrafi przetłumaczyć swych wizji na powszechnie zrozumiały język sceny.

Kiedy kurtyna idzie w górę, zwisają jakieś dziwne sienniki przedziurawione pośrodku. Aktorzy wchodzą w nie i z nich wychodzą, nie wiadomo po co i dlaczego. Wjeżdżają na scenę duże blaszane nasiadówki, w których siedzą bohaterowie „Rewizora”, jak w fotelach. Horodniczy lata z gołym pepkiem, a jego córka nosi kostium złożony z dziesiątek pończoch pozawieszanych wokół jej ciała. Dlaczego? Żeby było trudniej zgadnąć. Nie jestem przeciwnikiem oryginalnych pomysłów scenografa, śmiałych rozwiązań plastycznych itp. Ale sądzę, że każdy pomysł plastyczny musi mieć w spektaklu swoją funkcję, musi być podporządkowany celowi nadrzdnemu i najważniejszemu: czytelności dzieła, lepszemu wyrażeniu myśli autora, precyzyjnierzemu przekazaniu jej widzom. Jeśli dzieje się inaczej, powstaje barok nowoczesności, teatr traci sens, publiczność niczego nie rozumie, a wysiłki najwybitniejszych nawet twórców idą na marne.

Jest w nowohuckim przedstawieniu „Rewizora” kompozycja malarzka z kóz, jak z obrazów Chagalla, bardzo piękna i urzekająca. Jest kilka innych ładnych zestawów barw i kształtów. Ale cały spektakl jest martwy, statyczny, a co najważniejsze: nie ma w nim Gogola. I nie pomagają nawet wysiłki tak dobrych aktorów, jak Franciszek Pieczka (Horodniczy), Bronisława Gerson-Dobrowolska (jego żona) i

Anna Lutostawska (jego córka). Muszą oni walczyć, podobnie jak cała reszta zespołu, z pomyłonymi kostiumami, w jakie ubrał ich scenograf, i niemożliwymi, bezsensownymi sytuacjami, w jakich umieścił ich reżyser.

W programie „Rewizora” czytamy: „Teatr Ludowy chce być teatrem zgodnym ze swoim czasem, tak w sensie ideowym, jak artystycznym. Chce być teatrem współczesnym z powszedniej swojej praktyki”. Niestety, nie jest takim teatrem w przedstawieniu genialnej komedii Gogola. Ani w sensie ideowym, ani artystycznym. Publiczność siedzi na widowni, jak zamurowana, niewiele z tego wszystkiego rozumie, nawet się nie śmieje. Teatr współczesny jest teatrem myślącym. Spektakl „Rewizora”czy bezmyślności, gdyż po kilku chwilach widz, zmęczony niezrozumiałością koncepcji wizualnych Szajny, przestaje się zastanawiać nad sensem sztuki, odbierając najwyżej wrażenia wzrokowe.

Trudno przewidzieć, jaka będzie dalsza droga Teatru Ludowego pod nową dyrekcją. Jedno jest pewne: droga zapoczątkowana spektaklem „Rewizora” prowadzi w ślepy zaułek abstrakcji, z którego nie ma wyjścia. Trzeba z niej czym prędzej zawrócić. Plany repertuarowe Teatru Ludowego zapowiadają się ciekawie. Jest w projekcie wystawienie „Śmierci na gruszy” Wandurskiego, sztuk Brandyisa i Grochowiaka, dzieł klasyków i współczesnych pisarzy radzieckich. Byleby tylko realizacja nie odebrała im walorów. Byleby eksperymenty artystyczne służyły lepszemu wydobyciu treści i ułatwiały jej zrozumienie widzom, a nie niweczyły sensu dzieła, jak stało się niestety w wypadku „Rewizora”.

ROMAN SZYDŁOWSKI

Tadeusz Kudliński

Rewizor Szajny

Swieżo kreowany dyrektor Teatru Ludowego — J. Szajna rozpoczął nowy etap nowohuckiej sceny. Dał śmiało na inaugurację własną inscenizację, która jest oczywiście wyznaniem wiary. Wybrał gogolowskiego Rewizora, a więc klasyczną, szpicerzą karykaturę charakterów, spaczonych carskim samodzierżawiem. Karykaturę — przy całej sile komicznej — tak zjadliwą, że aż ponurą w swej beznadziejności. Wszak sam autor przeraził się nią w końcu. Oskarżenie Gogola jest realne i kon-

bioza dwu artystów w jednej osobie wyszła więc przedstawieniu na użytek. Choć — nie bez zastrzeżeń. Ale o tym, potem.

Na rachunek Szajny zapisać trzeba niewyczerpaną pomysłowość sytuacyjną oraz nieustającą brawurę i ruchliwość obrazu scenicznego, przy czym każda scena ma właściwy wspornik w plastycznej metaforze (symbioza!). Tańczące, papuzio-pstre czy zimne tło akcji, dynamika światła i kolorów, dowcipna parodia kostiumów — wszystko to celnie grało fałszywym blichtrzem. Wstydliwą podszewkę spraw odstawiała zgrzebna brzydota, blaszane nasiadówki w miejsce foteli, koszarowe czy więzienne sienniki. Pogłębiono te aluzje echami tzw. „szmacizmu”, więc brudnymi płachtami, strzępami papierzysk, czy cudacznym wyglądem kupców-tandeciarzy (choć siejących rublami). Może to już przegięcie, podobnie, jak poważny a milczący chłopaczek w epilogu, figurka dość zagadkowa w swej wieloznaczności.

Zaletą przedstawienia jest także podanie tekstu z pełną wyrazistością i dobitnością. Natomiast mniej konsekwencji widać w wykonaniu aktorskim. Wręcz znakomity w absurdalnej grotesce okazał się J. Wiczorek, interpretujący postać Chlestakowa, jako żalostnego w swej swawoli chłystka i cwaniaczka. Podobnie T. Kwinta, motylkowaty Naczelnik poczty, arcyśmiesznie scharakteryzowany ruchem, każdym gestem i sposobem mówienia. Równie swobodnie czuli się w groteskowej konwencji J. Güntner (Bobczyński, jako klown), czy E. Rączkowski (Sędzia). A Lutostawska zagrała też nie naturalistycznie córkę Horodniczego, ale bo jako ekstrakt pokwitającej naiwności i śmiało pączkującego erotyzmu. Już bardziej naturalistyczny, choć dobitny w swym cynizmie był Osip T. Matysika. I na tym koniec czystej groteski.

F. Pieczka mógł być konsekwentnie — w roli Horodniczego-satrapy — jarmarczną „maską”, komicznie groźną w rodzaju poliszynela. Jednakże nieustannie brykał w szablonowe zagrania naturalistyczne, obce marionetkowej konwencji. Nie ratował absurdalności tej postaci szczególnie tak jaskrawy, jak nagi brzuch i pępek wyzierający z rozchełstanego munduru. Podobnie — M. Gerson-Dobrowolska, choć precyzyjna w charakterystyce preferencyjnej magnifiki z małego miasteczka, pozostała jednak komediową damą, odosobnioną w powszechnej błazenadzie. Podobnie naturalistyczną grą odbijał od kompanów Kucator Z. Klucznik.

Pomijając te nierówności wykonania aktorskiego, można uznać debiut reżyserski Szajny za programowe osiągnięcie, w którym bujna wyobraźnia plastyka skojarzyła się z inteligentną koncepcją całości. Pozostaje pytanie, czy ten typ przedstawienia jest powszechnie dostępny? Pytanie, które zawisło nad Teatrem Ludowym jeszcze na poprzednim etapie.



Chlestakow — Józef Wiczorek
Rys. Danuta Boguszewska-Chlebowska

kretnie, umiejscowione w czasie i środowisku ostawionej nikotajewszczyzny. Szajna zrywa z tym wyraźnym umiejscowieniem, daje obraz wyobcowany z czasu i miejsca, poza marginesowymi akcentami w stroju czy dekoracji.

Pytamy więc o adres oskarżenia. Oczywiście nastąpiło tu ponadczasowe uogólnienie, oskarża się każdą moralność, spaczoną jakimkolwiek reżymem przemocy. Tak odrealniona satyra, przeniesiona na płaszczyznę cyrkowej groteski i absurdalnej komiki, stała się tym samym mniej ponura — niż w dotychczasowym, naturalistycznym ujęciu scenicznym (przypomnę tu dla przykładu głośne przedstawienie z kreacją Kurnakowicza).

Szajna - scenograf zadebiutował równocześnie jako reżyser. To złączenie w jednym ręku dwu funkcji dało wynik bardzo korzystny, osiągnięto bowiem jednorodność przedstawienia, pokonano jakże częstą rozbieżność pomiędzy wyobraźnią plastyka a koncepcją reżysera. Trudno sobie wyobrazić, aby Szajna-scenograf bimbał sobie z Szajny-reżysera, czy odwrotnie. Ta przykładowa sym-

Jerzy Broszkiewicz

„Rewizor“ w Krakowie

Jeden z największych komediopisarzy czasów nowożytnych — i jeden z najbardziej tragicznych życiorysów, jakie zna historia literatury — to Gogol.

Człowiek żył zaledwie czterdzieści trzy lata. Pierwszą książkę wydał pisarz w 1831 — czyli w 22 roku życia. W ciągu następnych dziesięciu lat stworzył swoją wielkość, napisał i zrobił wszystko, czym jest po dziś dzień. „Rewizor”, „Ożenek”, „Szybel”, „Nos” itd. itd. — Od „Wieczorów na chutorze dikańskim” po pierwszy tom „Martwych dusz”. Potem zaś zaczęły się uporeczywe, bezlitosne i w końcu całkowicie daremne próby samobójstwa.

Terminu: samobójstwo — nie należy traktować dosłownie. Gogol nigdy nie targnął się na swoje życie. Natomiast ostatnie 10 lat swej egzystencji poświęcił na próby pisarskiego samounicestwienia. Chciał przekreślić samego siebie. Gogola — tragika i ironistę — chciał podmienić na carochwalcę, bigota i kaznodzieję.

Kto winien? Choroba. Gogol wchodząc w czwarty dziesiątek swego życia został opanowany przez chorobę psychiczną. Ale obraz owej

choroby, jej ciężar i okrucieństwo nasyciły też czasy, w których pisarzowi żyć przypadło. Na tronie rosyjskim, przy pomocy knutów, pałek i szpiclów rządził wówczas car, sam siebie mianujący żandarmem Europy, a przez lud „Palkinem” zwany — Mikołaj I. Nie trudno było wówczas o stany lekowe i to w całej Europie. Nie dziwnego, że chory człowiek cierpiący na ataki strachu przed śmiercią — uległ im także jako pisarz. Chciał, usilnie a daremnie chciał przekreślić pierwszy tom „Martwych dusz” — tomem drugim, chwytającym porządek nikolajewski oraz boże postanowienie carskiej i papieża władzy. Na szczęście nie potrafił. Na tyle jeszcze był pisarzem, że trzykrotnie spalił ów drugi tom. Wydał wprawdzie haniebne „Listy do przyjaciół” — ale o nich zapomniano. Całe zaś pierwsze, wielkie dziesięciolecie Gogola-pisarza trwa i żyje po dziś dzień.

Gogol od dawna jest już własnością literatury i teatrów całego świata. Zmienia się podług wrażliwości epok — bywa bardziej śmieszny lub bardziej tragiczny — rekwizyty jego literatury z kosti-

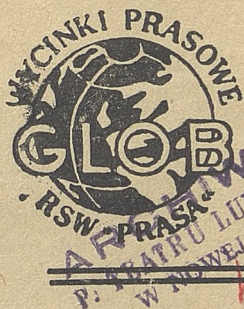
mu za jego czasów współczesnego, zmieniają się w przedmioty muzealne. Ale sens i sztuka wielkiego Gogola trwa, i każde kolejne po dziś dzień pokolenie musi przyjąć słynne pytanie z „Rewizora” — „Z kogo się śmiejecie?” — jako pytanie wprost do siebie skierowane.

Wiek XX ze szczególną uwagą czyta, przeżywa i komentuje Gogola. I to nie tylko czytelnik, czy widz. Przede wszystkim chyłta pisarze. Awangarda teatralna naszych czasów, tragigroteska, tragifarsa, komedia dürrenmattowska... — przecież nawet Kafka jest z linii owego gogolowskiego śmiechu.

Dziś na scenę Teatru Ludowego wchodzi „Rewizor”. Pierwszy raz od kilku długich lat — zjawia się znów w Krakowie. Wchodzi tym razem na scenę w kostiumie i wśród rekwizytów nie tradycyjnych. Rekwizytor, Józef Szajna, pragnie bowiem czytać Gogola dziś tak, jak np. czyta się Majakowskiego. Nie przez odległości czasu i przestrzeni — lecz przez żywą obecność gogolowskiego śmiechu. W jaki sposób? Rolę tłumacza musi tu już podjąć sam teatr. Premiera — 21. XI.

ARCHIWUM
P. TEATRU LUDOWEGO
W NOWEJ HUCIE

Nr poz. 57



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Strykowski 7
Tel. 8-59-59

**TYGODNIK POWSZECHNY
KRAKÓW**

wydanie

49

8. XII. 53

Nr..... z dn.

Ostatnie dni listopada przyniosły kilka interesujących premier w naszych teatrach: „Smierć porucznika” Mrożka w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, w reżyserii A. Bardinięgo i oprawie plastycznej J. Kosińskiego. Świetna inscenizacja i mocna obsada aktorska. Na scenę Teatru Polskiego weszli „Bracia Karamazow” Dostojewskiego w adaptacji i

100

reżyserii J. Krasowskiego. Spektakl zainteresuje przede wszystkim ludzi wyuczonych na problematykę filozoficzną. W Teatrze Ludowym w Nowej Hucie Józef Szajna (reżyser i scenograf) zmontował arcypomysłowy spektakl „Rewizora” Gogola. Dużo dobrych pomysłów inscenizacyjnych, kapitalna oprawa plastyczna. Już sama kompozycja malarska Szajny stanowi teatr.

BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 8-59-59

GAZETA KRAKOWSKA
KRAKÓW

wydanie..... 30. XI.

283
Nr..... z dn. 1. XII 63

Jerzy Bober

TEATR

REWIZOR

A więc mamy do czynienia z dwoma przedstawieniami w ramach jednego spektaklu. Jedno przedstawienie dyktowała wizja scenografa, drugie — chyba sam tekst. Piszę „chyba” — albowiem nie wszystko z gogolowskiego tekstu „Rewizora” dociera w pełni do widowni. Wspominał o tym podczas przerwy jeden z krytyków przytaczając (podobno) słowa Leona Schillera, że — tekst ostatecznie można sobie przeczytać osobno, naturalnie po zapoznaniu się w egzemplarz komedii...

Wróćmy jednak do wstępnego zdania o dwóch spektaklach w jednym. Przygotował je scenograf i reżyser zarazem — Józef Szajna, nowy kierownik artystyczny Teatru Ludowego, zresztą współtwórca tej placówki wraz ze Skuszańką i Krasowskim. Wiedzy zainteresowania Szajny ograniczały się do scenografii. Obecnie wystąpił w roli — reżysera. Stąd prosty wniosek, że na funkcjach reżyserskich musiało w jakiś sposób szałczyć spojrzenie plastyka. Dobrze to czy źle — oto byłoby pytanie, na które trudno już dzisiaj na podstawie jednego spektaklu — odpowiedzieć.

Ambicje młodego (stażem) reżysera i wytrawnego scenografa miały się sprawdzić właśnie na „Rewizorze”. A zatem na komedii, znakomicie już wygranej (a może i ogranej?) w tradycyjnym stylu. Ostatnia i jedyna po wojnie premiera „Rewizora” w Krakowie przeszła do kronik teatralnych, jako bezbłędny spektakl, naszpikowany świetnymi nazwiskami aktorskimi z Kurnakowiczem w roli Horodniczego na czele. Nie sądzę, żeby udało się — na identycznej lub tylko podobnej koncepcji realizatorskiej — zbudować przedstawienie lepsze. Więc Szajna nie poszedł tradycyjnym szlakiem swoich poprzedników. Jak wynika z jego wypowiedzi, drukowanej w programie teatralnym — widział on komedię Gogola inaczej. Może akurat nie potrafił sformułować, że „*ośmieszenie kłamliwych mitów i fałszywych ambicji jest próbą obnażenia działań bohaterów sztuki, którzy każdej dogodnej im sytuacji nadają pozory jej rzekomej prawidłowości i społecznej racji*” — albowiem podobne koncepcje patronowały wielu współczesnym realizatorom „Rewizora”. Natomiast zdanie: „*Chcę traktować Gogola tak jak np. Majakowskiego, a kształt sceniczny uzyskać wychodząc od spraw ku poetyce a nie na odwrót*” oraz, że „*realizacja nasza... widziana jest jak gdyby z różnych naraz perspektyw (...) na etykę współżycia społecznego*” — mówi już więcej o zamiarze pokazania dzieła Gogola, odmiennego od dotychczasowych.

Co zatem nowego o „Rewizorze” powiedział nam Szajna? Skoncentrował głównie swoją uwagę na wizji plastycznej. Tego można się było spodziewać. Spektakl „optyczny” przetrwał swoją wartość — spektakl wierny tekstowi. Ambicje reżysera-scenografa poniosły go tak daleko, że aż „przedobrzyli” nakładanie się barw, kostiumów, rekwizytów i pomysłów plastycznych (skądinąd ciekawych, choć nierazdko szokujących) — przez co w tym gąszczu malarskiego dowcipu oraz metafor i kropek nad „i” — zagubił słowno-sytuacyjny Wielki Śmiech Gogola. Ostrze tej gryzącej i celnej społecznie satyry — mieniające się na przemian błyskami groteski i tragicznej ironii — ześlizgiwało się po ocykowanych biletach, kostiumach — symbolach (np. kupców, jak chochoły straga-

niarskie; córki Horodniczego, niby towaru na sprzedaż „erotyczną”, w sukni-przeñośni z pończoch) po nastroju, niezamierzonej chyba, bo fałszywej ideologicznie — chaplinady, etc.

To wrażenie przytłoczenia tekstu nazbyt bogatą w pomysły oprawą — jak gdyby scenograf nie dowierzał reżyserowi — wytrąciło spektakl z równowagi. Dekoncentrowało uwagę widza. Stara to prawda, że nadmiar dobrych szczegółów może wywołać niekorzystne wrażenie o całości.

Bo rozpatrując poszczególne pomysły inscenizacyjno-reżyserskie, przyjdzie się zgodzić na wizję wielkiego barłogu, jaki roztoczył Szajna przed oczami widzów przy pomocy rozprutych śmiętek, połączonych trybami i trybkami społeczno-obyczajowej maszyny. Dobrym pomysłem stało się przedzielanie sceny, jak zapadająca krata — rodzajem belkowanej ściany spróchniałego domu. Śmietnik papierów i paplerków mógł być dowcipną kłamańską bałaganu w „urzędowej” moralności. Świeła na scenie „nabożeństwa” ze świecami ku czci Horodniczego, które zostają wygaszone po ujawnieniu prawdy o rzekomym rewizorze — wydobywała atmosferę śmieśności i zażania — w duchu gogolowskiej satyry. Wymieszanie ludzi i zwierząt (makiety) w jednym pomieszczeniu — ujmowało w nawias uogólnień działanie prymitywnych instynktów itd., itd.

Każdy z tych pomysłów wydawał się interesujący. Ale spiętrzone razem wywoływały zamęt. I znużenie. Rozrywały akcję, na skutek czego końcowe słowa Horodniczego „*z kogo się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!*” — trafiały nie tyle w próżnię — ile w nadmiar obfitości wizualnych, wśród których zmalała ideologiczna treść komedii.

Franciszek Pleczka stworzył nową sylwetkę Horodniczego. Był to chytrus i dureń na skalę małomiasteczkową. Tuzinkowy dzierżymorda z ograniczoną odpowiedzialnością. Wtopiony w równie przeciętne środowisko łzuszów, tchórzów, łapowników i małych ambicjonerów. Właśnie tą przeciętnością — groźnych społecznie, Myślę, że to chyba słuszną koncepcją gry aktorskiej, trafnie przeprowadzoną przez reżysera i zespół (warto tu wymienić jeszcze E. Rączkowskiego w roli sędziego, Z. Kluczniaka jako kuratora instytucji filantropijnych i J. Wieczorka — Chlestałowa). Dobrą postać komediową, żony Horodniczego — zaprezentowała B. Gerson-Dobrowolska poprzez cielecą kokieteryjną „pierwszej” damy małego miasteczka i A. Lutostawska w charakterze prowincjonalnego wydania Bardotki, dla ubogich duchem.

Teatr Ludowy w N. Hucie. Mikołaj Gogol „Rewizor”. Przekład: Julian Tuwim. Reżyseria i scenografia: Józef Szajna.



MIKOŁAJ GOGOL

Na scenę Teatru Ludowego w Nowej Hucie pod kierownictwem Józefa Szajny wszedł „Rewizor” Gogola. Nie tylko zresztą teatru „pod kierownictwem”, także „Rewizor” pod kierownictwem Szajny, bowiem artysta-malarz i scenograf jest również reżyserem spektaklu. Jest to sytuacja szczególna, chociaż nie wyjątkowa, wystarczy wspomnieć przykład bliski, lecz przeciwstawny. Myślę o Wilamie Horzycy, który wszedł do teatru jako literat, i nie on jeden przecież. Ale takie wejścia — z zewnątrz niejako, chociaż w wypadku Szajny-scenografa porównanie to ma nośność ograniczoną — przesądza zwykle o stosunku do sztuki, którą nazywamy teatrem. Artysta już uformowany staje się w teatrze arbitralny i bezkompromisowy. Horzyca zawsze pozostał bezkompromisowym „literatem teatru”. Słowo poetyckie i słowo dramatyczne było tą potęgą, przed którą korzył się, był jej posłuszny. Ale — miłośnik słowa — posłuszny był mu w jego brzmieniu współczesnym, zaprzedał literaturze — czytał ją zawsze jako księgę żywą, aktualną, klasyków widział i rozumiał przemawiających wprost do jego współczesnej wyobraźni artystycznej.

Szajna jest malarzem i scenografem. I także jest arbitralny i bezkompromisowy, bezwzględny wobec teatru. Ma wyobraźnię plastyczną a nie literacką. I wierność wobec niej posuwa — oględnie mówiąc — bardzo daleko. Jest przeciwnikiem tradycyjnego konwencjonalizmu. A więc scenę komponuje z sienników, w których chowają się aktorzy, albo ze sterty pierzyn, z której spada domniemany rewizor. A więc kostium aktorki zszywa z dziesiątek par pończoch, albo zręcznie wykorzystuje nagość ciała Horodniczego, albo naczelnika poczty obwiesza trąbkami, torbami, listami. Tło sceny daje ładne, malarskie, prześwietlane, narzucające nastrój, jak ktoś powiedział po premierze, stepu rosyjskiego, tej olbrzymiej pustki, przestrzeni, które — nieopanowane postępowaniem cywilizacji — zawsze będą dopuszczały sytuacje z „Rewizora”.

To tło jest na pewno własnością Szajny-malarza, jego osiągnięciem i jego dobrym wkładem w przedstawienie. Teatr bowiem potrzebuje także plastyki, malarstwa — obok literatury, aktorstwa a czasem i muzyki. Potrzebuje plastyki jako jednego z instrumentów, i może to być wówczas nawet tzw. malarstwo czyste, nawet w wydaniu współczesnym, tasytowskim czy jak tam kto nazwie.

Ale Szajna ma wyobraźnię arbitralną i ogarnąć chciał całe przedstawienie. Kostiumy, budowa sceny, sytuacje. Przeszkoda, jaką napot-

ZYGMUNT GREŃ

„REWIZOR” KOMPLETNY

kał, były sugestie tekstu. Wyobraźnia nie pozwalała na kostium konwencjonalny. Ale przecież właśnie kostium konwencjonalny i historyczny jest już dzisiaj całkowitą abstrakcją artystyczną. Szajna poszukiwał efektów innych, opisanych powyżej. Nie dostrzegł tylko, że właśnie w tych efektach stał się literacki i naiwnie symbolistyczny. Naczelnik poczty i trąbki, młodzianka erotomanka i pończoszki, nagość Horodniczego, komórki z wiejskich sierników, w których siedzą zapleśniali prowincjusze, i puchowe pierzyńska, z których spada, bo spaść musi, fałszywy rewizor. I jeszcze nasiadówki zamiast krzeseł, aby już nikt nie miał wątpliwości, że znalazł się w drobniemieszczańskim piekielku, z którego sztychła moderna. Nie, Szajna zupełnie niepotrzebnie niepokoił się w programie pisząc, że teatr „pragnie działać w sensie poznawczym i artystycznym podług możliwości najwyższych wymagań... które się stawia widowni”. Wszystko na scenie jest zawstydzająco przejrzyste, tautologiczne nawet, skoro scenograf myśli reżysera i autora powtarza, symbolizuje, przyozdabia — jak kamienice mdm-owskie. Powiedziałbym też, że teatr współczes-

ny od dobrych kilkudziesięciu lat odszedł już od tego rodzaju osiemnastowiecznej tautologii artystycznej. Bo przecież Szajna nie robi nic innego, jak tylko nazywa bohaterów za pomocą efektów plastycznych i za wzorem Naruszewicza na przykład, w którego komediach także występowali: Marnotrawscy, Staruszkiewiczze, Chudeccy, Dragajły, Gwarzyły i Kręciwasy. Nie na długo tej zabawy wystarczyło.

A już wyjątkowo tylko zabawa taka bywa skuteczna scenicznie. Widziałem kiedyś w Poznaniu półtoragodzinne przedstawienie „Fausta”, w którym reżyserowi — nakładem dużego wysiłku — udało się nakłonić niezłych aktorów, by grali jak amatorzy. Szajnie w sukces przyszły kostiumy. Nie mogłem się więc dziwić, że Anna Lutosławska, aktorka dojrzała i niezawodną intuicją artystyczną odtworzająca swoje role, przystroiwszy się w pończoszki, stała się nagle bezradną szczebiotką, jakiej nie powstydziliby się przysłowiowe imieniny cioci. Dobrze, że rola była epizodyczna i tekst marginalny.

Bo trzeba powiedzieć od razu i na dobro Szajny-reżysera, że w tym przedstawieniu — pomimo wszyst-



Fot. W. Plewiński

ko — pozostał tekst. To, co napisał Gogol, dochodziło do widowni. Ale było — powiedzmy więcej — Gogolem bardzo konwencjonalnym. Aktorzy bowiem w większości — a przykładem może tu być Franciszek Pieczka jako Horodniczy — chociaż przestrojeni odpowiednio do wyobraźni scenografa, grali konwencjonalnie. I o co innego jak o konwencjonalne odczytanie postaci reżyserowi nie chodziło. Dlatego, gdy mówiłem o pomysłach plastycznych, padło słowo tautologia.

Można by bowiem zrozumieć scenografię Szajny, gdyby równie oryginalną dał interpretację tekstu. Gdyby — jako współczesny czytelnik — znalazł „Rewizora” z lekko przesuniętymi akcentami. Gdyby jego scenografia właśnie wydobyciu tych przesunięć akcentowych miała służyć. Ale Szajna nie zdecydował

się, co rzadzi tymi ludźmi, których pokazuje na scenie, jaki mechanizm wprawia ich w ruch. U Gogola tych mechanizmów — jak w każdej wielkiej komedii — jest wiele. I strach i chciwość, i podłość i okrucieństwo, naiwność i cynizm, karierowiczostwo i próżność. Toteż kiedy w domu czytamy sobie wieczorem „Rewizora”, zawsze potrafi do nas trafić, zawsze dotknie tej struny, na jaką właśnie dziś jesteśmy nastroszeni. Wybieramy wówczas i inscenizujemy na sposób własny. Ale teatr musi wybierać również. Scena nie jest sypialnią zaciszną. Scena jest arbitralna i paraliżuje wyobraźnię. Można się teatrowi poddać, albo wyjdzie się z niego zimnym. U Szajny na jednym planie — plastycznym — podano z Gogola wszystko. W teatrze znaczy to tyle, co nic.

ZYGMUNT GREŃ

POLITYKA
WARSZAWA

wydanie

10 7. III. 64

26
ARCHIWUM
TEATRU LUDOWEGO
W NOWEJ HUCIE
Nr poz. 44
teatr

CZTERY ŻYWIÓŁY

JAN KŁOSSOWICZ

W NOWEJ Hucie jest teatr. Znany w kraju i za granicą. Teatr, który powstał ze śmiałości, a zarazem prostego założenia, że w mieście wyrosłym na naszych oczach musi powstać teatr współczesny. Taki, który mógł się pojawić tylko w drugiej połowie dwudziestego wieku.

Nad nowohuckim teatrem warto zastanowić się właśnie teraz. Kiedy zakończył się bojowy i pełen triumfów pierwszy etap jego rozwoju. Kiedy wkroczył on w okres bardzo ciężki, być może decydujący o jego losach, o tym, jak ostatecznie zapisze się w powojennej historii polskiej sceny. Nie chodzi tu zresztą tylko o zmiany personalne w dyrekcji, którą, jak wiadomo, po Krystynie Skuszance objął Józef Szajna. Trudna i skomplikowana sytuacja nowohuckiego teatru jest co najmniej w równej mierze wynikiem zmian, które po trosze niepostrzeżenie zaszły w samej Nowej Hucie. W ciągu niespełna dziewięciu lat istnienia nowohuckiego teatru otaczające go miasto zmieniło się do niepoznania. Zaszło w nim wiele społecznych i ekonomicznych procesów, które gdzie indziej przebiegały w ciągu kilkudziesięciu lat. Powstał tam zupełnie nowy w naszych warunkach typ robotniczej i technicznej społeczności. Środowisko, w którym zjawiska kulturalne związane ze współczesnymi środkami masowego przekazywania osiągnęły stopień rozwoju nie spotykany nigdzie, poza niektórymi ośrodkami na Śląsku (1 telewizor na 10 mieszkańców Nowej Huty wobec 1 na 30 w całym kraju).

Dlatego wszelkie problemy, przed którymi znalazł się od początku swego istnienia Teatr Ludowy w Nowej Hucie obecnie uległy dalszemu, bardzo już wyraźnemu zaostrzeniu. Najbardziej śmiały i twórczy eksperyment naszego teatru po wojnie wkroczył w fazę niezwykle dramatyczną. Bo teatr ten zarówno poprzez swoje położenie, jak i poprzez przyjęty w nim od początku kierunek artystycznej ofensywy, stanowi ogólnopolski przykład, na którym sprawdza się rola i znaczenie teatru w dzisiejszym i jutrzejszym społeczeństwie. Marzenia o teatrze XX wieku zrodzone przeważnie w kręgu konstruktywistycznie i mechanicznie, a jednocześnie nieco klasycyzująco nastawionych ugrupowań awangardy lat

dwudziestych i trzydziestych sprowadzały się po trosze do pragnienia rekonstrukcji teatru greckiego. Do zbudowania wielkich amfiteatrów, w halach, czy też pod gołym niebem. Do tworzenia widowisk dla wielotysięcznej publiczności. W praktyce te marzenia okazały się absurdem. Grecki ideał stadionu, zbiorowego widowiska przeżywanego przez tysiące odrodził się wspólnie w sporcie. Masowe widowisko teatralne naszych lat okazało się spektaklem oglądanym w warunkach czysto kameralnych. W gronie rodziny czy najbliższych znajomych. Teatr nie może pod tym względem konkurować ani z telewizją, którą jednorazowo oglądają nie tysiące ale miliony, ani nawet z powielanym w tysiącach kopii filmem. Za to zupełnie nowe i zupełnie inne i trudniejsze niż nawet kilka lat temu stoją przed nim zadania. Żeby nadal pozostać tym czym jest, czym stał się na nie spotykaną przedtem skalę właśnie po wojnie — prawdziwie twórczym i zapładniającym składnikiem naszego życia kulturalnego — teatr musi pozostać przede wszystkim teatrem. Musi jak najmocniej wykorzystać swoje własne cechy artystyczne. Musi jak najmocniej podkreślić swoją niepowtarzalną wartość dzieła sztuki, które tworzy się na oczach widza.

Styl teatralny, który wytworzył się w Teatrze Ludowym polegał właśnie na uwypukleniu odrębnych i własnych cech widowiska scenicznego. Na metaforycznym traktowaniu tekstu, na daleko idącej transpozycji treści literackich na formy wizualne, przy czym ogromną rolę w inscenizacjach tego teatru odgrywały elementy czysto plastyczne — dekoracja i kostium. Jednocześnie jednak repertuar kształtował się w oparciu o analizę możliwych zainteresowań miejscowej widowni. Dlatego też mimo pozornej przypadkowości w doborze przeważały w nim utwory związane z aktualną problematyką społeczną i polityczną, a uwspółcześnianie pod tym kątem widzenia dzieł klasyki stało się swoistą, czasem nawet przesadną manierą nowohuckich inscenizatorów.

Przedstawienie gogolowskiego *Revizora*, którym Józef Szajna rozpoczął bieżący sezon jest kontynuacją nowohuckiej tradycji inscenizacyjnej. Zarazem jednak stanowi ono w stosunku do stylu tego teatru odchylenie w kierunku, który musi budzić zaniepokojenie. Szajna jest na pewno pełnoprawnym współtwórcą stylu Nowej Huty, ale jako inscenizator pozostaje on jednak przede wszystkim plastykiem. Jego przedstawienie jest od początku czystą metaforą *Revizora*. Dzieje się w poprzelamywanej i skomponowanej na nowo po malarsku przestrzeni, na tle horyzontów oklejonych gazetowym papierem, wśród rozprutych sienników i blaszanych niasiadówek. Rozgrywane jest przed aktorów ubranych w kostiumy, które są zarazem i dosłownym opisem i metaforą danej postaci i barwną plamą i bryłą w plastycznej kompozycji. Horodniczy ma na głowie stosowany kapelusz i świeci gołym pępkiem zza ciasnego munduru. Je-

go córka dźwiga bez przerwy ogromną lalę-naguska, symbol własnego dzieciństwa, które za sprawą Chlestakowa może niedługo przemienić w macierzyństwo. Każdy gest jest tutaj elementem kompozycji, każde słowo jest przede wszystkim dźwiękiem. Od tego przedstawienia tylko krok do opery. I to naprawdę do świetnej opery, w której muzyka stałaby się istotnym elementem widowiska równoważącym wszechwładność plastycznej idei. Spośród trzech żywiołów składających się na widowisko teatralne: aktorstwa, dramatu i plastyki, Szajna jest demiurkiem tylko jednego spośród nich. Dlatego jego styl i to jego przedstawienie najłatwiej jest omawiać i krytykować od wewnątrz. Od strony jego estetycznej wartości. Nietrudno wykazać wtedy jego kompozycyjne wynaturzenie. Ale w kontekście problemów nowohuckiego teatru, to niezwykle *opus magnum* Szajny ma zupełnie znaczenie specjalne.

Czwartym, obok trzech wymienionych żywiołów teatru jest oczywiście publiczność. A tę publiczność i to szczególnie w takim ośrodku jak Nowa Huta trzeba już dziś zdobywać środkami innymi niż nawet przed paru laty. Po to, żeby istnieć, żeby stanowić nadal twórczy ferment życia kulturalnego, teatr musi chyba jeszcze mocniej i zdecydowanie mówić o sprawach najbardziej aktualnych i sięgających do najbardziej ukrytych a zarazem najsilniej dręczących i pasjonujących problemów naszej epoki. Jednocześnie zaś musi nadal jak najwyraźniej stawiać na własną odrębność artystyczną.

Ale po teatr musi korzystać ze wszystkich środków wyrazu. Inaczej pozostanie jeszcze jednym czystym eksperymentem. Jeszcze jednym z niespełnionych marzeń współczesnej awangardy. Niektóre spośród najbliższych zamierzeń repertuarowych teatru w Nowej Hucie zdają się zapowiadać realizację tych postulatów. Chodzi tu przede wszystkim o ciekawy pomysł teatralnego ukazania problemów zawartych w známym filmie Romma — *Dziewięć dni jednego roku*. Również realizacja sztuki Wandurskiego *Śmierć na gruszy*. Utworu powstałego w ścisłym związku ze sceną robotniczą z lat dwudziestych, utworu, którego idea, przewodnią jest dążenie do maksymalnego połączenia sceny z widowiskiem, do uczynienia widzów nie tylko aktywnymi odbiorcami, ale wręcz współtwórcami przedstawienia. W tym kontekście wielka indywidualność scenograficzna Szajny i jego rola jako rzeczywistego kontynuatora stylu nowohuckiego teatru jest niezwykle cenna. Nie wiadomo dzisiaj jakie będą dalsze losy teatru. W Nowej Hucie, ale jedno jest pewne, że zmarnowanie dorobku, zaprzepaszczenie szansy przetworzenia się jego stylu w nową jakość teatralną, zamienienie ambitnej sceny naszego najmłodszego miasta w lepszy czy gorszy teatr prowincjonalny byłoby rzeczywistą stratą naszej kultury. Przyznaniem się do porażki na najbardziej eskonowanym i trudnym odcinku pracy prawdziwie współczesnego polskiego teatru.

Czytelnik z Jeleniej Góry:

Dlaczego telewizja pokazała nam „rewizora” z teatru w Nowej Hucie? Co symbolizował nagł pępek Horodniczego, ukazany w całej krasie milionom widzów? Dlaczego aktorzy grali w tak obszarpanych kostiumach, czego nie wymagała przecież ani akcja, ani epoka, ani w ogóle jakakolwiek logika?

Odpowiedź: a) ktoś to może wiedzieć? b) nagł pępek Horodniczego symbolizował ciężkie położenie materialne carskich czynowników z jednej strony, a z drugiej strony ich wielką władzę (patrz powiedzenie „pępek świata”). Nie należy wierzyć, iż miało to być symbolem niskiego poziomu przedstawienia, gdyż wtedy należałoby odstąpić zupełnie co innego i grubo niżej, na przykład stopy; c) logika

ARCHIWUM
P. TEATRU LUDOWEGO
W NOWEJ HUCIE

Nr poz. 47

**KTO PYTA,
NIE BŁĄDZI**

niewiele ma wspólnego z tym, co niektórzy chcieliby podciągnąć pod nowoczesność, może teatr po prostu nie ma środków na lepsze kostiumy?



Rys. Adama Kiliana do programu „Krakowiaków i Górali”

Co tam panie w Krakowie

Kraków w styczniu. Nowy rok rozpoczęty pod znakiem ożywionego życia teatralnego i jubileuszu czcigodnej Akademii Jagiellońskiej. Chciałoby się o wszystkim po trosze napisać i tchnąć w te informacje coś z niepowtarzalnej i jedynej w swoim rodzaju atmosfery tego miasta. A to bardzo trudno.

Zacznijmy od sprawy, której część krytyków nadaje cechy skandalu. Od nowej inscenizacji gogolowskiego „Rewizora” w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie. Reżyser i scenograf przedstawienia, Józef Szajna, spadkobierca sołdy teatralnej po Skuszance i Krasowskim, poczyną sobie z „Rewizorem” dość bezceremonialnie. Nic z realizmu w dekoracjach i kostiumach, szokujące pomysły plastyczne, zawierające w sobie

skomplikowaną symbolikę, chwylami w niezamierzony sposób śmieszne.

Nie tylko o „Rewizorze” mówi się w Krakowie jako o „skandalu”. Stary Teatr wystawił właśnie w reżyserii Ziemińskiego sztukę brazylijską Rodrigueza „Złoty pysk”. I oto na posiedzeniu budżetowym Miejskiej Rady Narodowej najsędziwszy działacz polityczny Krakowa, dr Bolesław Drobner, wystąpił z ostrym atakiem na to przedstawienie. Zdaniem nestora ze sceny padają słowa tak nieprzychylnie, że sprawą powinna zainteresować się prokuratura. Chwalebna troska dr Drobnera o kulturę życia codziennego jest zdaniem większości, w tym wypadku chyba trochę przesadzona.

Do ciekawostek w życiu teatralnym Krakowa zalicza się występy Teatru Faktu z programem „Romeo i Julia za czwartym fałochronem”. Jest to montaż autentycznych listów nadsyłanych przez młodzież do redakcji „Dokoła Świata”, wygłaszany przez grupę młodych aktorów z Teatru Rozmaitości. Grupie tej przewodniczy kierownik literacki tego teatru Ryszard Smożewski. Program, który prezentowany jest na schodach w westybulu teatralnym, bawi, czasem wzrusza, ale przede wszystkim wprowadza w sam gąszcz trudnych spraw młodego pokolenia. Ciekawy i ambitny eksperyment.

W Starym Teatrze pod nową dyrekcją Zygmunta Huebnera oglądać można „Wesele” Wyspiańskiego w reżyserii i oprawie plastycznej Andrzeja Wajdy, który coraz częściej zdradza film dla teatru. Jednocześnie w kameralnej sali tego teatru dużym powodzeniem cieszą się dwie sztuki Sławomira Mrożka „Zabawa” i „Śmierć porucznika”. Pierwsza z nich to jak niektórzy mówią anty-„Wesele”, nawet napisana jest wierszem imiującym Wyspiańskiego. Kpiący satyryczny ton pisarstwa Mrożka bezlitośnie obnaża usypiający czar „Wesela”.

Pomysł dla drugiej z prezentowanych sztuk zaczerpnął Mrozek z autentycznego faktu. Oto Adam Mickiewicz zaśłyszał był niezbyt ścisłą relację o obronie Woli w 1831 roku i o bohaterstwie do-

wódcy jednej z redut, kapitana Juliusza Orzona. W oparciu o ową relację napisał poeta swój znany wiersz „Reduta Orzona”, według którego dzielny oficer poniósł śmierć, wysadzając swą redutę w powietrze, by nie oddać jej wrogowi. Wiersz wzruszający, ale rozmiągający się z prawdą historyczną. Ordon bynajmniej nie zginął w tej bitwie, wyemigrował po powstaniu za granicę i żył jeszcze długie lata wbrew wierszowi Mickiewicza. To wydarzenie dostarcza Mrożkowi pretekstu do satyrycznej rozprawy z bohaterstwą i romantycznym patosem. Dodać chyba jeszcze należy, że wystawienie tej sztuki Mrożka zapowiada jeden z teatrów łódzkich.

Krótki spacer po teatrach krakowskich zakończmy w szacownym Teatrze im. Słowackiego, który z okazji siedemdziesięciolecia istnienia wystawił śpiewogrę Wojciecha Bogusławskiego „Krakowiacy i Górali”. Reżyser przedstawienia — dyr. Bronisław Dąbrowski nie powtórzył znanej dobrze w Łodzi inscenizacji Leona Schillera, ani nie sięgnął do dekoracji Władysława Daszewskiego. Inscenizacja Dąbrowskiego ujmuje — według jego własnych słów — „Krakowiaków i Górali” „w stylu prymitywnej, teatralnej zabawy osnutej na świadomym znaczeniu historycznego stylu widowiska i przekształceniu go w formę obrzędowo-ludowej zabawy, w teatr lalek i bawidełek dekoracyjnych”.

Stylizowana, interesująca oprawa plastyczna „Krakowiaków i Górali” jest dziełem Adama Kiliana. Stare melodie Stefaniego i Krupińskiego uzupełniono pieśniami obrzędowymi i przyspiewkami krakowskimi i podhalańskimi, obficie zaczerpniętymi z Kolberga.

Gdybym miał dokonać wyboru, który ze spektakli oglądanych w Krakowie uznać za najlepszy i którego wyróżnić reżysera, po namyśle odpowiedziałbym chyba: Widowskiem, które najbardziej mi się podobało jest Collegium Maius, a za najlepszego reżysera uważam prof. Karola Estreichera. Dobrze, ktoś mi powie, ale prze-

cież Collegium Maius to najstarszy budynek Uniwersytetu Jagiellońskiego, a prof. Estreicher jest jego rekonstruktorem i konserwatorem. Więc gdzie tu widowisko, gdzie reżyseria? A jednak. Po Collegium Maius chodzi się nie jak po muzeum. Estreicherowi przy pomocy jemu tylko wiadomych sztuczek (być może, iż z zapisaniem duszy diabłu włącznie) udało się podźwignąć tę budowlę i przywrócić jej domniemany wygląd z XVII czy XVIII wieku, a przy tym tchnąć w nią ducha tych czasów. Nie będę tu relacjonować ekspozycji w Collegium Maius, bogatego skarbcza z berłami królowej Jadwigi i Oleśnickiego, astrolabiów i kwadrantów, kopernikańskich tyglów i retort w pracowni alchemicznej. Tego się nie da opisać, to trzeba zobaczyć.

Collegium Maius odrestaurowane zostało w ciągu dwudziestolecia Polski Ludowej. W obecnym stanie stanowić będzie jedną z głównych atrakcji tegorocznych uroczystości związanych z 600-leciem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przygotowania do obchodów są w pełnym toku. Główny ich ciężar spoczywa na samej uczelni, ale współuczestniczy w nich całe miasto. Program zapowiada się bardzo atrakcyjnie.

A oto garść informacji, jakie udało mi się na ten temat nieoficjalnie uzyskać.

Rozpocznie się 10 maja wręczeniem ponad trzydziestu doktoratów honoris causa uczynom zagranicznym i krajowym. Podobno w ich liczbie znajdować ma się aż pięciu laureatów nagrody Nobla. Często wymienia się nazwisko ubiegłorocznego laureata w dziedzinie literatury pięknej — pisarza jugosłowiańskiego Ivo Andrića, który ukończył krakowską uczelnię przed I Wojną Światową.

Po honorowej promocji senat, profesura, doktoranci i delegacje innych uczelni krajowych i zagranicznych przejdą pochodem na Rynek, gdzie odbędzie się spotkanie ze społeczeństwem. Przy tej okazji wykonana zostanie po raz

pierwszy kantata Grażyny Bacewiczówny, komponowana specjalnie na tę uroczystość. Po południu na dziedzińcu arkadowym na Wawelu przybyła z całego kraju młodzież akademicka złoży uroczyste śluby Polsce Ludowej. W tymże miejscu w godzinach wieczornych Teatr im. Słowackiego wystąpi ze spektaklem „Odprawy posłów greckich” Jana Kochanowskiego. Następnego dnia odbędzie się sesja naukowa oraz oddany zostanie do użytku supernowoczesny obiekt — gmach Wyższej Szkoły Rolniczej.

Kraków lubi także żart i anegdotę i właśnie dlatego na koniec parę anegdot.

W tym roku akademickim uruchomiona została filia UJ w Katowicach. Na inaugurację zjechali na Śląsk dostojni profesorowie, by przedelfilować ulicami miasta w togach i biretach. W związku z tym nie przyzwyczajeni do takich widowisk katowiczanie mówili, że to sesja wyjazdowa Soboru Watykańskiego...

Prof. Estreicher postanowił przed kilkunastu laty przenieść pomnik Mikołaja Kopernika z podwórca Collegium Maius na Planty. Miał dla tego posunąć swoje historyczne racje, nie wszyscy się jednak z tym zgodzili. Jeden z oponentów dzwonił o pierwszej w nocy do mieszkania ówczesnego wiceprezydenta miasta.

— Panie prezydencie — woła w słuchawkę w podnieceniu — dziś wieczorem stała się rzecz straszna. Największy uczony polski Mikołaj Kopernik został eksmitowany z Collegium Maius i stoi na Plantach.

— Spokojnie, profesorze — odpowiada wiceprezydent. — Po co się denerwować? Przyjdźcie do mnie jutro, do biura, przydzielimy temu uczonemu mieszkanie i po krzyku...

(Pierwszą z anegdot powtarzam za prof. Kazimierzem Wyką, a drugą za wiceprzewodniczącym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie — Janem Garlickim).

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



III RZESZOWSKIE SPOTKANIA TEATRALNE dobiegły końca. Zorganizowane w ramach Dni Rzeszowa, wspólnym wysiłkiem Wydziału Kultury Prezydium MRN i Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej, były najważniejszą imprezą kulturalną w tym okresie. Przez siedem dni sala widowiskowa naszego teatru wypełniała się dwukrotnie. Dzięki temu społeczny zasięg Spotkań znacznie się zwiększył. Skurczył się natomiast czas trwania i wachlarz repertuarowy imprezy. Teatry zaprezentowały nie jak w latach ubiegłych po dwie, lecz po jednej sztuce.

1 czerwca 1964 r.

I NAUGURACYJNE przedstawienie dał Teatr im. Juliusza Słowackiego z Krakowa. Na program wieczorułożyły się „Fenomena” i „Odprawa posłów greckich” Jana Kochanowskiego w inscenizacji i reżyserii Maryny Broniewskiej. Trudno o tym spektaklu mówić bez wzruszenia. Walory rap-

sodyczne tekstów wysunęły się tu na plan pierwszy. W „Fenomenach”, mimo zawilej treści mitologicznego wykładu astronomicznego, zabrzmiała piękna, jedrna i dostojna polszczyzna Jana z Czarnolasu.

Dramatyczny spór o piękną Helenę osadzony został w czasie historycznym, w atmosferze typowo polskiej. „Odprawę posłów greckich” zagrano z podniesioną maską. Wy-smukłe kolumny przypominały architekturę dziedzica wawelskiego, odgłosy dzwonu Zygmunta, jagiellońskie orły, kostiumy pozwalały się domyślać, że rzecz dzieje się w szesnastowiecznym Krakowie, a nie w odległej Troi.

Zresztą nie tylko szlachetna w wyrazie scenografia Stanisława Bakowskiego odsłaniała polskość sztuki. W tym kierunku zmierzali również aktorzy; świetny jako Aleksander Tadeusz Malak, nie ustępujący mu Włodzimierz Saar jako Iketaon i Eugeniusz Fulde jako niezdecydowany, mało przedsiębiorczy Priamus.

Na oddzielną uwagę zasługuje gra Katarzyny Meyer, która wystąpiła w roli wieszczki Kasandry. Stworzyła ona niezapomnianą kreację dzięki rzadko spotykanej kulturze słowa i wybitnym walorom aktorskim. Grała ekspresyjnie. Jej obłąkana wizja klęski i nieodwracalnej zagłady — przerażała.

2 czerwca 1964 r.

TEATR im. Stefana Żeromskiego z Kielc przywiózł na Rzeszowskie Spotkania trzy jednoaktówki Sławomira Mrożka: „Zabawę”, „Na pełnym morzu” i „Czarowną noc”. „Na pełnym morzu” publiczność naszego miasta oglądała w 1962 roku w wykonaniu artystów krakowskiego Starego Teatru. Dwie pozostałe sztuki grane były w Rzeszowie po raz pierwszy. Niestety, z winy organizatorów Spotkań ani program spektaklu, ani afisz nie dotarły do miejscowej prasy, a odpowiedzialność za drukowane słowo nie zezwała sprawozdawcy cytować z pamięci nazwisk twórców przedstawienia. Trzeba jednak stwierdzić, że młody zespół radził sobie dobrze z tekstem Mrożka. Aktorzy uchwycili istotę groteski, swoistość aluzji i kalamburów tak charakterystycznych dla twórczości tego autora. Całość, wolna od pseudofilozoficznych point, zagrana z lekkimi przerysowaniami, jak chce konwencja gatunku, widownia przylęła z pełnym aplauzem.

3 czerwca 1964 r.

GWOZDZIEM REPERTUARU SPOTKAN była niewątpliwie „Afera” Ronald Millara według powieści C. P. Snowa, wystawiona przez Stary Teatr z Krakowa. Społeczno-psycholo-

giczny charakter sztuki zdecydował o jej kształcie scenicznym. Twórcy spektaklu: reżyser (Zygmunt Huebner) i scenograf (Wojciech Krakowski) świadomie starali się pozostać ilustratorami tekstu dramatycznego. To założenie zezwoliło uwypuklić intelektualne treści sztuki. Zatem tradycyjizm formy, najchętniej akceptowana przez odbiorców konwencja realistyczna widowiska. Dzięki znakomitej grze aktorskiej „Afera” na długo pozostanie w pamięci rzeszowian. Nowych entuzjastów swego nieprzeciętnego talentu zdobył zwłaszcza Leszek Herdegen jako Lewis Eliot. Dotrzymał mu kroku Kazi-

CZESŁAW KŁAK

mierz Fabisiak, obaj u szczytu formy w pełnej napięciu scenie posiadzenia sądu. Najbardziej bawił publiczność szczerze przez nią oklaskiwany Tadeusz Wesolowski w roli profesora H. M. L. Gaya.

4 czerwca 1964 r.

GROZE „czasu zagłady” przypomnieli Teatr Juliusza Osterwy z Lublina, który wystawił „Partittę na instrumencie drewnianym” i „Szachy” Stanisława Grochowiaka w reżyserii Bohdana Poreby i scenografii Jerzego Torończyka. „Partitta” — sztuka o dużym ładunku poetyckim, napisana jako słuchowisko radiowe, później dopiero anektowana przez teatr, zdążyła niedostatki warsztatu dramatycznego młodego autora. Być może dlatego nie przyniosła sukcesu lubelskiemu zespołowi. Wynagrodziły to „Szachy”, kompozycyjnie podporządkowane wymogom sceny i mniej rozwichrzona niż „Partitta”. W sumie przedstawienie podobało się, co w dużej mierze jest zasługą Andrzeja Gazdeczki, kreującego makabryczną postać Hrabiego.

5 czerwca 1964 r.

ROMEA I JULIE ZA TRZECIM FALOCHRONEM wystawił Teatrzyk Faktu Teatru Rozmaitości i Miejskiego Przedsiębiorstwa Imprez Artystycznych w Krakowie. Pomysł i pierwsza realizacja zrodziły się w Kielcach. Oryginalne zestawienie autentycznych listów „sercowych” do redakcji „Dookoła Świata”, fragmentów z Szekspira i ogłoszeń matrymonialnych przyniosło rozgłos twórcom scenariusza: Elżbiecie Szaniawskiej, Wiesławowi Barańskiemu i Ryszardowi Smożewskiemu. Ryszard Smożewski, zarazem reżyser przedstawienia, do drugiej krakowskiej realizacji nie wniósł nowych elemen-

tów. Powtórzył niejako osiągnięcie kieleckie z nowym zespołem wykonawców. Sympatycy teatru mieli możliwość odświeżyć w pamięci poprzednie wrażenia, jako że Teatrzyk kielecki bawił swego czasu w Rzeszowie.

6 czerwca 1964 r.

SKRAJNIE różnił się od „Afer” w swym zrebie koncepcyjnym „Rewizor” Mikolaja Gogola, pokazany przez nowohucki Teatr Ludowy. Józef Szajna, reżyser i scenograf przedstawienia, znany także jako malarz i grafik, stworzył nową, plastyczną inscenizację tej historycznej komedii. Wprowadził na scenę jako symbole plastyczne przedmioty szokujące swym powszechnym zastosowaniem (m. in. zgrzebne sienniki i metalowe nasiodówki), odrealnił je, posłużył się nimi jako środkami do spotęgowania humoru sytuacji. Temu samemu celowi służyły błazeńskie kostiumy postaci, poruszających się na feerycznym tle. Odarty w ten sposób z historyzmu „Rewizor”, pozbawiony konkretnych, obrosłych tradycją ram, przemówił do współczesnego widza współczesnym językiem. Rozbawiona publiczność z zajęciem śledziła perypetie groteskowych łapówkarzy w groteskowym Ciemnogrodzie. Wśród nich znaleźli się cieszący się już w Rzeszowie zasłużoną popularnością aktorzy: Franciszek Pieczka (Horodniczy), znany także z „Myszy i ludzi” Johna Steinbecka oraz Edward Raczkowski (sędzia Lapkin — Tlapkin) pamiętany z niezrównanej kreacji Lejzorka Rojtszwańca.

7 czerwca 1964 r.

JAKO OSTATNI wystąpił przed widownią gospodarz Spotkań, Teatr im. Wandy Siemaszkowej z udanym przedstawieniem „Kowal, pieniądze i gwiazdy” Jerzego Szaniawskiego. Spektakl ten może być traktowany jako reprezentatywny dla mijającego sezonu teatralnego. Sztuka wystawiona w konwencji realistycznej stała się widowiskiem szlachetnie powściągliwym i spójnym. Dźwięczą tu czyste nuty liryzmu, wygrane dzięki pełnej dyskretnej umiaru reżyserii Danuty Knoppówny. Tempo spektaklu jednolite, gra aktorska wyrównana. W roli tytułowej wystąpił Franciszek Buratowski, zdobywając pełny sukces artystyczny. Wzruszała nie kłamana prostota i szczerością Irena Chudzikówna jako Zosia. Współgrała z ogólnym charakterem widowiska oprawa plastyczna Jana Marcina Szancera, funkcjonalna i zarazem dekoracyjna. Przyczyniła się ona w pełni do stworzenia swoistego, balladowego nastroju, o którym pisał Jerzy Szaniawski we wstępie do sztuki.



A więc okres urlopowy szczęśliwie mamy już za sobą. Sezon ogórkowy panujący niepodzielnie na naszych scenach, estradach i w salach koncertowych nie ominął zresztą również i naszej TV. No cóż, pracownicy telewizji to „też ludzie”, należał im się odpoczynek — jak wszystkim. Wydaje mi się, że w czasie letnich dni do najbardziej oglądanych i słuchanych pozycji programu należał Dziennik TV. Trzeba przy tym przyznać, iż nie korzystano tu na ogół z wakacyjnej taryfy ulgowej...

Miniony tydzień upłynął pod znakiem przygotowań do obchodów związanych z 25 rocznicą hitlerowskiego najazdu na Polskę. Znalazło to także odbicie na srebrnym ekranie. Myślę o nadanym w ramach Wszechnicy TV — z udziałem wybitnych znawców przedmiotu — badaczy dziejów najnowszych — programie historycznym pt. „Przed wrześniem”. Główną wartością tej audycji było, iż nie ograniczono się przy omawianiu układu sił politycznych i militarnych w przededniu wybuchu II wojny światowej do przypomnienia rzeczy powszechnie już wiadomych, lecz sięgnięto nadto do nieznanych dokumentów i opracowań źródłowych, pozwalających spojrzeć na tamte wydarzenia z innej strony. Szczególnie interesująco zabrzmiał w dyskusji głos płk. Kozłowskiego z Wojskowego Instytutu Historycznego. Zresztą do spraw Września będziemy mieli jeszcze okazję wrócić — główne uroczystości rocznicowe dopiero się zaczęły.

Przeglądając się programom publicystycznym w naszej TV (notabene ubiegły tydzień w tym zakresie nie przyniósł zbyt wie-

le, raczej panowała jeszcze tutaj wakacyjna posucha), należy zatrzymać się przy cyklicznej audycji, do jakiej zaliczają się „Wieczne rozmowy”. Odnosimy na plus widoczną troskę o aktualność podnoszonych i rozpatrywanych przed kamerą problemów, o ich ścisłe powiązanie z wydarzeniami dnia codziennego, z chwilą bieżącą. I tym razem trafiono w sedno, oddając głos wicemin. Oświaty — F. Herokowi — w związku ze zbliżającym się rokiem szkolnym. Byłoby jednak chyba interesujące wysondować opinię publiczną, co do kształtu tej audycji. Czy telewizjom odpowiada bardziej wywiad przeprowadzony na gorąco, czy też raczej wypowiedź skierowana wprost do słuchaczy. „Wieczne rozmowy” zdobyły już sobie prawo obywatelstwa na szklanym ekranie, sądzę też, że właśnie dlatego warto pokusić się o opinię widzów, które w tym wypadku mogą okazać się pomocne w znalezieniu możliwie atrakcyjnej formy.

Skoro już mowa o pozycjach cyklicznych: pojawiła się w naszej TV nowa „rubryka”, mianowicie prezentowana w odcin-

kach filmowa seria dokumentalna pt. „Chwila wspomnień”. Nie pora jeszcze na ocenę całości tej filmowo-telewizyjnej realizacji, można chyba jednak już dziś stwierdzić, iż stanowi ona znakomity głos w dyskusji nad naszym dwudziestolecie. Sądzę też, iż z powodzeniem można tę filmową pozycję zaliczyć do pozytywnej publicystyki. Żeby na ten raz wyczerpać zagadnienie programów cyklicznych w naszej TV — wspomnijmy jeszcze pokrótce o renomowanym już cyklu literackim „Portretów” — w sobotę pokazano nam interesujący biograficzny film, zrealizowany w NRD — o Arnoldzie Zweigu. Wypada tylko westchnąć pod adresem naszych telewizyjnych filmów — aby w przyszłości dostarczyły nam podobnych biograficznych relacji również o wybitnych twórcach

Przejdźmy do programów rozrywkowych. Pod tym względem miniony tydzień na srebrnym ekranie prezentował się dość okazale — w sensie ilościowym. A co do jakości? Zaczniemy od popularnego kabaretu rozrywkowego „Miks”, na którego pojawienie się czekali telewi-

zowie z niecierpliwością. Niestety, pierwszy powakacyjny program — co tu ukrywać! — zdecydowanie rozczarował. Cóż z tego, że jak zwykle dobrano świetnych wykonawców — skoro nie potrafią im zapewnić dobrych tekstów. To smutne zjawisko: dowcip „wyparowuje” jakos z programów „Miksa”, piosenki blakną, brak kabaretowi sensownej oprawy, autorzy nie grzeszą inwencją. Trzeba uderzyć na alarm: „Miks” wykazuje coraz wyraźniej tendencję zstępującą... W przeciwieństwie do programu nadanego w Warszawie, bardzo udanie wypadł program rozrywkowy z Katowic pt. „Wszystkiego po trochu” — prowadzony lekko, zgrabnie, w dobrym tempie i stanowiący cointail, na który złożyły się piosenki i obrazki baletowe. Mam jednak pewne zastrzeżenie: obserwując występy piosenkarek, odnosiło się chwilami wrażenie, iż „podłożono im głos” — z taśmy. No cóż, można i tak, ale w takim razie należało bezwzględnie podać, czyje to było wykonanie i kto jest kompozytorem...

Oddzielnych słów kilka wypada poświęcić ostatniej „Kobrze”,

która uraczyła nas widowiskiem A. Ridleya pod tytułem „Pociąg-widmo”, w reżyserii J. Kulczyńskiego. No, tym razem miłośnicy dreszczyków i zwolennicy mocnych wrażeń nie mieli na co narzekać, choć — wbrew tradycji — podstawowa kwestia sprowadzała się w zasadzie nie tyle do pytania: kto zabił?, ile: kto będzie zabity? Sztuka trzymała ustawicznie w stanie napięcia, atmosferą grozy i niesamowitości została doprowadzona do maksimum. Aktorzy grali bez zarzutu — na wyróżnienie zasługuje zwłaszcza odtwórca roli inspektora Morrisona i „doktora”. Z pań — zapisała się w pamięci szczególnie „abstynentka” — grała ją H. Parysiewicz.

Wreszcie dwie premiery, zaprezentowane z okazji I Telewizyjnego Festiwalu Teatrów Dramatycznych. Z Teatru Starego w Krakowie, w reż. J. Grudy, ujrzeliśmy „Koniec Księgi VI” — Jerzego Broszkiewicza. Trudno tu mówić o sztuce — w tradycyjnym kształcie — dramata o Mikołaju Koperniku skonstruowany został na innej zasadzie: były to raczej dialogi sceniczne — bez akcji. Równoległość wątków

rozpraszała uwagę widza — tym bardziej iż kamera, nie mogąc objąć całej sceny, „szatkowała” niejako obraz. Rezultat? Niezbyt przekonujący. Zresztą — ekran telewizyjny ma swoje określone wymagania, sztuki przenoszone wprost z teatru bez telewizyjnego „szlif” nie zawsze się tym wymaganiom poddają. Lepiej już zniósł ową transplantację „Rewizor”, przeniesiony z Teatru Ludowego w Nowej Hucie, w reż. J. Szajny. Dobrze, że udostępniono widzom z całego kraju genialną komedię Gogola, należąca do wielkiego, światowego repertuaru. Gorzej, iż postanowiono ją na nowo odczytać — takie próby zawsze są ryzykowne. W tym wypadku nowatorski zabieg nie wyszedł „Rewizorowi” na zdrowie. Sztuce odebrano jej klasyczny gogolowski charakter. W dodatku ten potwornie szarżujący aktor w roli Chlestakowa! A na dobitek — muzyka konkretna jako oprawa spektaklu... Uznając prawo do eksperymentu, wypada jednak wyrazić żal, że w takim właśnie kształcie pokazano szerokiej publiczności arcydzieło Gogola.

BEATA SOWIŃSKA

Przez całe lata miliony telewidzów w Polsce miały możliwość oglądać festiwal teatrów pozawarszawskich na małym ekranie. Aby rzecz całą jeszcze bardziej uatrakcyjnić, ustanowiono jury oraz zaapelowano do telewidzów o ferowanie swoich własnych wyroków. Tak więc na jednym roźnie upieczono kilka pieczeni.

Po pierwsze — dano teatrom podwarszawskim znakomitą szansę prezentacji wobec wielomilionowej, ogólnopolskiej widowni. Co to znaczy dla zespołów aktorskich, skazanych dotychczas niemal wyłącznie na własną, ograniczoną widownię, na skąpa, lokalną krytykę, na wąski krąg opinii — nie trzeba pisać. Aktorzy mieli możliwość błysnąć swoim talentem przed największą widownią i przed ogólnokrajową krytyką. Reżyserzy mieli możliwość wykazania swego kunsztu inscenizacyjnego przed potężnym audytorium. Teatry z miast, w których nie ma telewizji, to znaczy nie ma stacji telewizyjnej, mogli zapoznać się z techniką telewizyjnych spektakli.

Po drugie — łącno w ten sposób przeżyliśmy ogórki. Sezon, rozpaczliwie pusty, kiedy najznakomitsze sceny i aktorzy, walnie wspierający teatry telewizyjne, nie mogły służyć TV — został wypełniony długim łańcuchem przedstawień, lepszych lub gorszych, ale wymagających

od telewizji minimalnego wysiłku, tudzież bardzo ograniczonych nakładów finansowych. Tak więc wilk pozostał syty i koza cała. Choć w tym drugim wypadku naruszają się pewne wątpliwości.

Wątpliwości te powstały w sumieniach zawodowych malcontentów, którzy tak już

zawodowych recenzentów, którzy dobierają sobie zresztą sztuki w ich mniemaniu „najbardziej interesujące”, ale na własne oczy każdy widź w kraju, obojętne, czy mieszka w dużym mieście, gdzie grywają sławne teatry, czy też na dalekiej tzw. prowincji — mógł ujrzeć teatr ogromny, teatr narodowy i

więc piali z zachwyfu, inni wieszali psy, a karawana jechała dalej.

A teraz wybuchła bomba, otworzyła się puszka Pandory, pełna wszelkich nieczystości: kilka milionów widzów mogło bowiem na własne oczy ujrzeć „Rewizora” Gogola (a właściwie Szajny) nadanego ze sceny tegoż teatru i trans-

zyć krytykom i penegtrykom na słowo? Wystarczyła jednak jedna transmisja telewizyjna, by można było dojść do wniosków wcale nie wesołych: bo mimo woli wszyscy zajrzeli za kulisy teatru polskiego właśnie takiego, jakim jest on na co dzień bez upiększeń, festiwalowych fanfar i tym podobnych sztucznych ogni.

Albo „Henryk IV” Szekspira z Gdańska? „Afera” Millera, także z Krakowa? Ileż tu nowych wartości odkryto i ile zbladło ustalonych sław? Tak oto, nie ruszając się z domu, odbyliśmy podróż teatralną po Polsce. Podróż ta już się kończy i rychło przyjdzie nam gratulować zwycięzcom: tym na scenie i tym członkom plebiscytu, którzy otrzymają bezpłatny siedmiodniowy pobyt w Warszawie, lub czternastodniowe wczasy w dowolnym ośrodku. Wierzę, że te wczasy — po obejrzeniu kilkunastu naszych „przeciętnych” spektakli bardzo się szczęśliwcom przydadzą.

Jest więc satysfakcja dla zespołów, oszczędność dla telewizji i mądrość życiowa dla cierpliwego widza. Czego życzyć sobie więcej? Aby teatry nie tylko warszawskie i krakowskie częściej występowały przed kamerami telewizyjnymi, nie tylko przy okazji festiwali, o ile oczywiście mają co pokazać.

Uczyć miliony złego teatru bowiem nie należy.

TELEWIZJA

Dla każdego coś strasznego

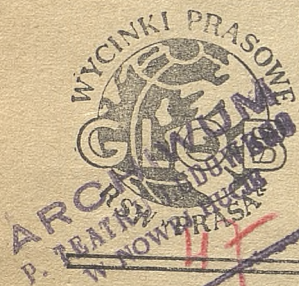
przyzwyczaili się do wszelkich punktowanych festiwali, iż chcieliby o raz oglądać na małym ekranie arcydzieła. Oczywiście — każdy teatr nawet borykający się z ogromnymi trudnościami w najmniej wdzięcznym środowisku może sobie raz na pewien czas pozwolić na poważny zryw i wystawić sztukę, godną i pod względem repertuarowym, i pod względem inscenizacyjnym najlepszych scen kraju. Tak, ale czy w takim wypadku otrzymalibyśmy obraz prawdziwy? Czy był to wierny wizerunek naszego życia kulturalnego w kraju, czy też wizerunek pokryty grubą warstwą lakieru? Lepiej chyba jest jak jest: obraz bez upiększeń mówi prawdę. I w ten sposób nie przez usta

mógł ukształtować sobie obraz życia teatralnego naszego kraju na własną, jak to się mówi, rękę.

Mały przykład. Przez wiele lat toczyły się zawzięte spory, w czasach jeszcze, gdy w teatrze nowohuckim rządy sprawowała Skuszanka, czy jest to teatr środowiskowy, czy wysublimowany, czy odpowiada on potrzebom mieszkańców Nowej Huty, czy też gustom snobów. Zawzięcie dyskutowano o prawo do eksperymentu, ale dla ogromnej większości czytelników prasy i biernych słuchaczy cała ta dyskusja była mową-trawą, którą bowiem specjalnie dla własnej konfrontacji wybrałby się np. ze Szczecina do Nowej Huty, aby sobie taki nowatorski spektakl obejrzyć? Jedni

mitowanego na całą Polskę. I spór, dotąd bezprzedmiotowy, nabrał nagle krwi i wigoru, wymyślenia stały się bardziej soczyste, a kraj cały przeżył świetną lekcję pogładową, co to znaczy eksperyment dla pogłębienia wartości artystycznych, a co eksperyment dla eksperymentu. Sypnęły się listy do redakcji, chwycili za pióra co bardziej krewcy felietoniści, obrócili się w grobie Gogol.

Bogac tam zresztą „Rewizor”! Kto poznałby np. „Konic księgi szóstej” Jerzego Broszkiewicza? Kto wybrał by się specjalnie na małą widownię Teatru Starego w Krakowie, aby sobie ten spektakl obejrzyć? Albo trafiłby na salę warszawskiego Teatru Kameralnego, gdzie go również wystawiano? Wie



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 8-59-59

ARGENTURA
P. TRATY
W NOWEJ PRASIE

Nr poz. **KULTURA**
WARSZAWA

wydanie

37

13. IX. 64

Nr

z dn.

26

Najkrótsza (tele) recenzja



— Nie bój się, kolego, to tylko „Rewizor” z teatru w Nowej Hucie.

Lech Zahorski

TRYBUNA LUDU

wydanie

Nr 249 z dn. 2. IX. 64

Rozmyślania przy telewizorze

2 Granice eksperymentu

SIERPNIOWY program telewizyjny nie dorównuje lipcowemu. Nie starczyło oddechu na całe lato. Można to było także zauważyć w ostatnim tygodniu tego miesiąca. Pięta achillesowa TV jest wciąż publicystyka. Nie potrafiła nasza TV w tym tygodniu odpowiednio wyeksponować 25 rocznicy Września. Sama transmisja uroczystości z Bytomią i program publicystyczny, nadany o kilka dni wcześniej tu jeszcze nie wystarczy. Dość szare i jałowe były też publicystyczne programy gospodarcze. Nawet w dziedzinie popularyzacji nauki obserwujemy pewien krok wstecz. Przygotowany przez Wszechnicę Telewizyjną program p.t. „Czas” zgubił się w efektach i efekciach, w pozornej literackości i ładnej formie, nie dając w końcu wyjaśnienia czym jest pojęcie czasu według najnowszych poglądów uczonych. A to jest przecież podstawowym i głównym zadaniem programów popularnonaukowych. W tych warunkach najlepszym programem publicystycznym tygodnia był portret wielkiego pisarza niemieckiego **ARNOLDA ZWEIGA**, nadany w ramach cyklu „Portrety” ze wstępem **Wilhelma Szewczyka**.

Tu wkraczamy już jednak w pogranicze publicystyki i programu artystycznego. Ten zaś jest od dawna głównym atutem naszej TV. Odnotować należy w tym tygodniu obserwowaną już od pewnego czasu dbałość o programy muzyczne. Jest to godne uznania novum, które przyczynia się do upowszechnienia muzyki wśród milionów widzów. Wielką przyjemnością był dla melomana koncert Orkiestry Kameralnej z Poznania pod dyrekcją **Roberta Satanowskiego**. Ten młody zespół

zdołał już sobie bardzo dobrze imię w kraju i za granicą. Wstępował on w maju we Francji i uzyskał tam wysoką ocenę krytyki i publiczności. Teraz mogli usłyszeć utwory muzyki dawnej w jego wykonaniu słuchacze i widzowie z całego kraju.

Cennym programem był także nadany w ramach cyklu „Wybitni artyści polscy” recital **A. Bachledy**. Program prowadził bardzo dobrze **Zygmunt Mycielski**, akompaniował prof. **Jerzy Lefeld**. Wreszcie miłą niespodzianką był dla miłośników muzyki nadany w niedziele program pt. „Prezentujemy młodych”. Zobaczyliśmy i usłyszeliśmy trójkę młodych wykonawców: wiolonczelistkę, klawesynistkę i śpiewaka, zaprezentowanych przez naszą wybitną pianistkę **Barbarę Hesse-Bukowską**. Ze szczególnym zainteresowaniem słuchaliśmy występu młodziutkiej klawesynistki **Stefanek-Lukowicz**, która odziedziczyła wybitny talent po matce (syniej pianistce **Halinie Czerny-Stefanek**), po ojcu (**Ludwiku Stefanek**) i całej tak muzycznej rodzinie. Przybywa nam w jej osobie bardzo ciekawy talent muzyczny.

W CIĄŻ jednak największą atrakcją programu telewizyjnego są przedstawienia teatralne. Było ich w ubiegłym tygodniu trzy. „Kobra” zaprezentowała „Pociąg widmo” **Ridleya**, sztukę znaną nam sprzed kilku lat ze sceny. Może to osłabiło jej atrakcyjność dla tych, którzy ten utwór znali. Odpadło bowiem zaskoczenie niespodziewanym rozwiązaniem, tak ważne w utworach sensacyjnych. Przedstawienie, wyreżyserowane starannie przez **Jana Kulczyńskiego** i grane przez dobrych aktorów, poza efektami słuchowymi, nie wywarło większego wrażenia. Pozostałe dwa spektakle nadane zostały z Krakowa w ramach telewizyjnego festiwalu teatralnego.

Pierwszym z nich był „Koniec księgi VI”, sztuka **Jerzego Broszkiewicza** o Koperniku, przygotowana przez Stary Teatr im. **Modrzejewskiej** w reżyserii **Józefa Grudy** i scenografii **Jana Kosińskiego**. Poprzedził to przedstawienie inteligentny wstęp kierownika literackiego Starego Teatru **Henryka Vogiera**, który dobrze wprowadził widzów w problematykę utworu. Widziałem przedstawienie „Końca księgi VI” na scenie Teatru Kameralnego w Warszawie i muszę przyznać, że spektakl krakowski ukazuje sztukę w lepszym świetle. Nie znaczy to, aby zarzuty wysunięte pod jej adresem nie pozostawały w mocy. Nadal twierdzę, że jest to utwór przegadany, pozbawiony ostrego konfliktu dramatycznego i zasadniczego spięcia ideowego. **Henryk Vogler** zestawiał „Koniec księgi VI” z „Życiem **Gallieusza**”, **Brechta** i „Fizykami” **Dürrenmatta**. Oczywiście daleko sztuce **Broszkiewicza** do tamtych dzieł, bądź co bądź wybitnych.

Teatr Stary uratował jednak pewne wartości sztuki **Broszkiewicza**, zaprzepaszczone w spektaklu warszawskim. Stało się tak dzięki bardzo wnikliwej reżyserii **Józefa Grudy** i dobrej grze aktorów. Zachowane zostały walory dialogu, brzmiały w tym przedstawieniu prawdziwie, chwilami nawet ciekawie. Wśród wykonawców wymienić należy przede wszystkim **Kazimierza Fabisiaka** w roli **Dantyska**, lecz także **Martę Stehniak**, **Jolantę Hanisz**, **Zygmunta Hoboła**, **Barbarę Bossak**; najtrudniejsze zadanie miał **Ryszard Filipiński**. Grał on samego **Kopernika**, który jest w sztuce postacią bladą, anemiczną, rezonerską. Autor nie pokazał go w starciu z otoczeniem i ze światem, nie dał mu możliwości ujawnienia wielkiej wiedzy, horyzontów myślowych i intelektu. Jakże więc miał go zagrać aktor. Mimo to **Ryszard Filipiński** wybrnął z tej trudnej roli obronną ręką. Uwierzyliśmy w końcu, że ten **Kopernik** był człowiekiem światłym i mądrym, choć raczej

nudnym. Wzbudzał szacunek, choć nie budził sympatii. Dodajmy do tego, że pewne wady sztuki, bardzo dotkliwe na scenie, zostały jakby zniwelowane w spektaklu telewizyjnym. Sztuka napisana jest w dwóch planach. I to, co raziło w przedstawieniu teatralnym było bardziej zrozumiałe w spektaklu telewizyjnym. Na scenie trudno było oglądać jednocześnie dwa plany. Rozpraszało to uwagę widzów.

Zupełnie inaczej było w wypadku transmisji spektaklu „**Rewizora**” z Teatru Ludowego w Nowej Hucie. Pisaliśmy już o tym dziwnym przedstawieniu w „Trybunie Ludu” po jego premierze. I pisaliśmy bardzo krytycznie. Jest to bowiem typowa inscenizacja, która w poszukiwaniu nowinek i ekstrawagancji zniszczyła najcenniejsze wartości dzieła. Telewizja jest bezlitosna. Kamery ujawniły więc z jeszcze większą ostrością tę smutną prawdę. Inszenizator tego przedstawienia, **Józef Szajna**, znęca się nad **Gogolem** bez litości. Wprawdzie **Jerzy Bcber**, który wygłosił słowo wstępne przed przedstawieniem, usiłował bronić koncepcji inscenizatora, tłumacząc, że słusznie nie wkroczył on na szlak swoich poprzedników, poszukiwał czegoś nowego, chciał dać „śmiesz, sięgający poza konkretną epokę”, potraktować komedię **Gogola**, jak sztukę **Majakowskiego** itd., ale wcale mnie nie przekonał.

„**Rewizor**” jest genialną komedią realistyczną i przemawia najmocniej wtedy, kiedy umiejscowiony jest konkretnie w epoce, w której autor sztukę umieścił. Kamera nie cierpi kłamstwa, ani abstrakcji. Nie można absolutnie zrozumieć dlaczego **Horodniczy** lata po scenie z gołym pepekkiem i obdarły, dlaczego w jego mieszkaniu goście siadają na sedesach, czy nasiadówkach, zamiast na krzesłach, dlaczego jego córka nosi dziwny strój z setek pończoch, zamiast zwyczajnej sukni itp., itd. Zniszczony został w tym przedstawieniu społeczny sens „**Rewizora**”, stepione zostało zupełnie jego satyryczne ostrze i tylko niekiedy udało się aktorom uratować fragmenty znakomitego dialogu **Gogola**. W dodatku to, co oglądane z pewnej odległości na scenie mogło wydać się umowną konwencją artystyczną, było w ogromnym zbliżeniu, jakie daje kamera, nie do zniesienia. W końcu zaś w braku kompozycji

przestrzennej obrazu i barwy znikły nawet te walory plastyczne, jakie zwracały chwilami uwagę widzów na sali teatralnej.

I tu trzeba powiedzieć kilka gorzkich słów pod adresem organizatorów telewizyjnego festiwalu. Nieudany eksperyment w awangardowym teatrze może się zawsze zdarzyć. Obejrzyj go kilka tysięcy ludzi i na tym koniec. Ale przejmowanie takiego przedstawienia do programu telewizyjnego i nadawanie go dla milionów widzów jest czynem szkodliwym, ukazującym w bardzo złym świetle wielkie dzieło kłasyki literatury rosyjskiej i depopularyzującym istotną część dorobku światowej kultury. Naprawić to dzwactwo można jedynie przez przygotowanie wzorowego przedstawienia tej świetnej komedii satyrycznej w wykonaniu najlepszych aktorów. Trzeba zresztą na marginesie dodać, że aktorzy nowohuckiego przedstawienia „**Rewizora**” nie ponoszą wcale odpowiedzialności za fiasko tego spektaklu. Niektórzy z nich z prawdziwym talentem i wielkim wysiłkiem usiłowali ratować, co się dało. Przede wszystkim **Franciszek Pieczka** w roli **Horodniczego**, lecz także **Bronisława Gerson-Dobrowolska**, jako żona i **Anna Lutosińska** (córka). Nie mogli jednak wiele zdziałać przeciw reżyserowi i scenografowi w jednej osobie, który konsekwentnie unicestwiał efekt przedstawienia.

NIE chciałbym, aby ten przegląd kończył się akcentem tak smutnym. Muszę więc jeszcze wspomnieć, że wiele przyjemności sprawił sobotni „**Miks**” z **Aliną Janowską**, **Marianem Załuckim** i **Janem Kobuszewskim** na czele, lepszy bez wątpienia od niedzielnego programu rozrywkowego, nadanego z Katowic. Miłośnicy sportu obejrzeni zaś pewno z zainteresowaniem program „**Kuźni Olimpijskiej**” o przygotowaniach do Igrzysk w Tokio.

ROMAN SZYDŁOWSKI

Ludwik Flaszen

Na krakowskich scenach

Rewizja »Rewizora«

1
 Pokrętny swiatek Mikołaja Gogola. Mała prowincja wielkiego cesarstwa. Rzeczy — w imieniu cara — sprawuje wszechwładna biurokracja. Urzędnikiem jest nie tylko burmistrz, policmajster, naczelnik poczty; urzędnikami są także lekarz i nauczyciel. Nie sprawowane funkcje określają tu postępowanie; nie powinności, wynikające z podziału społecznych ról; nie moralność zawodowa. Decyduje przynależność do warstwy, dysponującej władzą. Ludzie ci są panami życia i śmierci swych obywateli, narzucają im obowiązki i nagany wedle własnego widzimisie, gdyż nie ma tu innego prawa, prócz doraźnego interesu rządzących. Najwyższą ich zasadą jest solidarność grupowa, wymierzona przeciw reszcie obywateli: ważne, byś był swoim człowiekiem, nieważne, czy dobrze słyszysz społeczeństwu. Horodniczy i jego dwór głęboko zbratani są w machlojkach, z których zgodnie czerpią korzyści. Gdy jednak w grę wejdzie stan zagrożenia od góry lub możliwość awansu, solidarność pęka i do głosu dochodzą intrygi i donosicielstwo. Przedstawiciele klikki prowincjonalnej walczą o to, by klika stołeczna spojrzęła na nich łaskawym okiem. Jedyne, co od wewnątrz nadaje temu gangowi ce-

chy grupy legalnej i praworządnej, to urzędowa hierarchia. Ten swiatek ma oczywiście swoją ideologię. Powołuje się na cnoty obywatelskie i Boga; podejrzliwie wietrzy wokół siebie wolność myślenia i zgniliznę wolteriańską; nie lubi tego, czego nie rozumie; swych doktrynalnych świętości trzyma się kurczowo, naginając je wszakże każdorazowo do swych doraźnych potrzeb; interes zbiorowy utożsamia z własnym, dobro z urzędem, swe uprzywilejowane stanowisko z racją stanu. I żyje wielkim marzeniem o awansie: byle wyżej piąć się po służbowej drabinie, byle mocniej włączyć, więcej wycisnąć, aranżować huczniejsze holdy. Wszyscy, choć rządzą, mają tu psychikę parweniuszy, ów osobliwy melanż duchowy, na który składa się zapiekła ambicja i drapieżność suryt i ciasnota urzędowa, obłuda obyczajowa i zły smak. W każdym jest coś z pana i niewolnika jednocześnie: gnębiąc słabszych od siebie, płaszczy się przed możniejszymi. Nad prowincjonalnym swiatkiem Gogola

unoszą się odór władzy, która, wyobcowawszy się ze społeczeństwa, samą siebie zdegradowała do rzędu koterii. O żadnej aktualności Gogola mowy, oczywiście, być nie może. Jest to — przynajmniej dla niżej podpisanego — absurdalna baśń, dzieło poezji czystej, apelujące najwyżej do naszej wyobraźni historycznej. Nie śmiałem się z siebie, gdy autor w owej słynnej kwestii, zwróconej wprost do widowni, zaskakuje nas stwierdzeniem, że z siebie samych się śmiejemy. To dowcip dla bardzo liberalnego dworu. Myślałem tylko ze smutkiem; no, ale straszne rzeczy działy się w tej carskiej Rosji. Na prapremierze „Rewizora” bawili się i klaskali Mikołaj I. Nawet sroży carowie bywali łaskawymi, jeśli drwina pisarzy gędziła w ich plenipotentów powiatowych.

2
 A Szajna? Co w „Rewizorze” zobaczył Szajna? Zbiór oczywistości. Nie interesują go przebie-

gi zdarzeń ani psychologia bohaterów. Nie obchodzi go życiowe prawdopodobieństwo, ani logiczna analiza faktów. Szajna jest wizjonerem. Zjawiska wraz ze swymi znaczeniami ukazują mu się w obłoku skojarzeń tak konkretnych, jak to, co widzi oko. Nie są to skojarzenia bezkierunkowe. W „Rewizorze” układają się wzdłuż osi, której na imię sarkazm. I w budowie swej są paradoksalnie dosłowne. Zawarte w utworze potencie, Szajna wyolbrzymia, sprowadza do niedorzeczności — i tak spotworzył przygwałdzając obrazem-skrótem, z których każdy jest obelgą. Szajna — nie odtwarza, nie analizuje. Szajna — przedrzeźnia. Figury komedii wylazły z ustawionych na sztorc sienników; w finale na powrót się w nie chowają. Elita? Zbłocowisko — szczytów — przedrzeźnia Szajna. Zagrożone, na chwilę opuszczają swe kryjówki, by znów się w nie zaszyć, jeszcze szczelniej. Wybebeszone sienniki: wanny do na-

siadówek zamiast foteli; tandeta i szczy, które mniemają o sobie, że są bogactwem i dostojnością. Zewsząd wyliera niedza duchowa i bezstyl. Bezkształt, potworkowata fizjologia prowincji, której się zdaje, że jest stolicą stolicy. Elita? Straszni mieszczanie w strasznych mieszkaniach — przedrzeźnia Szajna. Każdy z tych ludzi w swym obrazie fizycznym i w działaniach obnosi piętno hańby, pozostające w sprzeczności z jego rolą społeczną i własnym o sobie wyobrażeniem. Horodniczy ma w mundurze, owiany na gołe ciało. Ow powiatowy maż stanu paraduje dumnie z gołym pępkiem, sprzeczny w sobie, rozdwojony na istotę i pozór. Kiedy poznajemy Chlestałowa, ubożego obywatela, któremu w zajeżdżeniu dla braku pieniędzy odmawia się jadła i posługi, jest żalonym tworem, kłiszczącym się w stolice betów; w swym różowym trykocie przydomina zaszczytne zwie-

rzanko lub owada, odartego z ochronnego pancerza. Kiedy miejscowa śmietanka urzędnicza ze strachu i zbyt daleko posuniętej przezorności pasuje go na rewizora, na oczach ich wkłada ubranie bywalka — i przedzierzga się w stołeczny lwa. Lecz pamiętamy o jego różowej, beznadziejnej skórcie... Ci, którzy sami są pozorem, kreują pozory. I fetują domniemanego rewizora. Fetują najdosłowniej: formuje się coś w rodzaju karnawałowego korowodu, a gościa obsypują nie tylko pochlebczymi słowami, ale i confetti. Strach i uniożoność przechodzą w radosną euforię. Gdy pod koniec wydaje się, że horodniczy, dzięki projektowanemu związkom rodzinnym z Chlestałowem, osiągnie upragniony awans; w domu jego w gronie zebranych gości snuje się marzenia o rozkoszach przyszłości. Scena ta przeistacza się w liturgiczną apoteozę. Zebrani grupują się w szeregach na wzór chóru; horodniczy rozparty w nasiadówce siedzi w pierwszym szeregu na miejscu pryncypialnym, święto koronowany władca kariery. Wszyscy trzymają zanadło świece, a tekst wygłaszają z obrzędowym namaszczeniem, jak słowa modlitwy. Kariera staje się uroczystym nabożeństwem — przedrzeźnia Szajna. Gdy jednak okazuje się, że domniemany (Dokończenie na str. 3)

Rewizja »Rewizora« (Dok. ze str. 2)

rewizor jest zwykłym oszustem, świece gasną, ceremonialna grupa rozplywa się w rozgorączkowaną, nieforemną plazmę ludzką, niezdrowo podekscytowaną pechem zwierzechnika. Nabożeństwo skończone. Kariera jest religią szczytów — przedrzeźnia Szajna. I wreszcie finał. Megafon groźnie obwieszcza przybycie prawdziwego rewizora. Z widowni wchodzi na scenę dziecko, ubrane na czarno, w rozłożystym kapeluszu — a krokiem jego, rytmicznie odmierzoną, towarzyszy pogłos, niby stapaniu Komandora. Wielka elita, znów zamieniona w szczyry, płochliwie zaszywa się w swych siennikach. Oto przysia sprawiedliwość dostojna i powiedziała: król jest nagły. Sprawiedliwość jest dzieckiem. Sprawiedliwość mówi oczywistości: jest naiwna. Rodowód swój wywodzi z bajki. Zarzuca się Szajnie banały; zarzuca się, że robi teatr statyczny; że uprawia nie teatr, lecz scenografię. Niesłusznie. Szajna jest odkrywca, tylko nie w warstwie dyskursywnej przedstawienia; nie w logicznej analizie zjawisk. Jest odkrywca w skojarzeniach, w obrazach-wzłach i metaforach, których rytmiczny ciąg czyni sąd nad zjawiskami. Sąd widzialny i spontaniczny. Szajna jest statyczny wówczas, jeśli za ruch w teatrze uznać wyłącznie anegdotę i tzw. rozwój psychologiczny postaci. Szajna ma swą głęboką, powiedziałbym — stęzoną, dynamiczną. Dynamika to rodem z inaczej rozumianego teatru. Szajna nie jest scenografem, lecz inscenizatorem. Niechęć, z jaką się często w sferach recenzentkich spotyka, płynie z niechęci do estetyki. Estetyki niepokoju. Szajna jest metny. Ależ, drodzy panowie, wszelka sztuka z prawdziwego zdarzenia, a więc twórcza, jest rzeczą wysoce podejrzaną i metną. Tylko bezduszne rzemiosło jest całkowicie jasne. To prawda: Szajna lubi dzięgiel plastyczny. Tu musi zważać, by środkami plastycznymi nie wyrażać aktora. Aktorstwo w tym przedstawieniu było konwencjonalne, ogólnikowe w farsowości i ogólnikowe w akcentach cyrkowych. Impulsy inscenizatorskie nie przeszły w tworzywo aktorskie. Należy więc podziękować aktorstwu: doskonałemu kunsztu reżyserskiemu. A nie, broń Boże, obniżać poziom inscenizacji. Artystów teatru z prawdziwego zdarzenia nie mamy zbyt wielu. Jeśli się nawet mylą, omiły ich bardziej są płodne niż zalety wyrobników, których mamy wielu.

LUDWIK FLASZEN

Teatr Ludowy. M. Gogol: Rewizor. Przel. J. Tuwim. Reż. i scenografia J. Szajna.



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starożytności 7
Tel. 8-59-59

TEATR
WARSZAWA

wydanie

Nr. **1** z dn. **1-15. 1. 64**

»REWIZOR« W NOWEJ HUCIE

— Nie — rzekł mój przyjaciel — nie pójde na nowohuckiego *Rewizora*. Człowiek, jakby nie było, widział to i owo. Widział w Paryżu przed 33 laty spektakl *Rewizora* w wykonaniu teatru Meyerholda, ze wspnianiałym Martinsonem w roli Chlestakowa. Widział przed 15 laty *Rewizora* w Krakowie, z nie mniej wspnianiałym Kurnakowiczem.

Po tych słowach przyjaciel udał się szybko na spektakl *Rewizora* w nowohuckim Teatrze Ludowym. Nastrojony był wręcz ujemnie. Jął tedy uragać początkowo na rozmaite, zbędne jego zdaniem, udiwnnienia. A to bidety i sienniki, a to szmaty i papierzyska, a to postacie nieosadzone ani w czasie ani w przestrzeni... A to przewaga scenografa nad reżyserem... A to widowiskowe składniki zabijają tekst... A to niepotrzebny dezabil Chlestakowa w drugim akcie...

Ale koniec końców cóż się pokazało? Że teatr jest siedliskiem niespodzianek, że ten odwieczny truizm triumfuje w tym wypadku całkowicie. Przyjaciel, w miarę rozwijającego się spektaklu, pomrukiwał systemem bezszmerowym, że właściwie można się zgodzić z tego rodzaju koncepcją, w której tekst zasadniczo nie ulega zagładzie, lecz dochodzi do głosu, przez nawal, gąszcz, nawet kiedy niekiedy przez nadmiar elementów widowiskowych. Że można podawać w wątpliwość znaczne uszczuplenie roli Osipa, jedynej obdarzonej zdrowym rozsądkiem postaci w kapitalnej komedii Gogola. Że końcowa tyrada Horodniczego

nie jest do tego stopnia komunikatywna, jak to sobie zamierzył autor.

Mimo te najważniejsze zastrzeżenia, widowisko o *Rewizorze* toczy się wartko i gładko, wzbudza nieustanne zaciekawienie niebanalnymi chwytami i pomysłami sytuacyjnymi. Dla przykładu: Chlestakow, mówiąc o czyszczeniu butów, zapytuje niedbale: „Dlaczego panowie stoją?” I w tej chwili zebrani łapówkarze, donosiciele, dęte matoly i tepe ważniaki rzucają się do nóg mniemanego rewizora i czyszczą mu zapamiętałe trzewiki. Kiedy tenże „rewizor” znajduje się w pijackiej euforii, cały świat kołysze się z nim, a więc w tym wypadku ściany domu i tłum zmartwiały ze strachu biurokratów.

Jednego tylko przyjaciel nie odcyfrował: wejścia rewizora na zakończenie sztuki. Jest to bezpłatny dodatek reżyserski, lecz o jakim zamierzeniu? Czy ukazanie się chłopczykowatego rewizora ma oznaczać, że tak groźne stanowisko można osiągnąć nie będąc pełnoletnim? Czy, że stanowisko rewizora jest tak nieważne, że można je powierzyć niemal dziecku?

Tak czy owak, zaskakujący, szokujący i prowokujący *Rewizor*, w reżyserii i scenografii nowego dyrektora Teatru Ludowego, Józefa Szajny, stanowi ciekawy przyczynek do tego, jak można przekazywać dzisiejszej widowni artystyczne walory utworu Gogola. Przyczynił się do tego karny zespół, z Józefem Wieczorkiem na czele. Wieczorek nakreślił wybornie, z godną niezdawkowego uznania lek-

kością i swobodą, figurę Chlestakowa. Wymienić również wypada Franciszka Pieczkę (Horodniczy), Tadeusza Szanieckiego (Chłopow), Zdzisława Klucznika (Zjemlanika) i Zbigniewa Bednarczyka (Dobczyński).

W kwestii formalnej. Nie wiem, czy mój przyjaciel się nie myli, ale twierdzi, że na scenie Teatru Ludowego ukazał się przed kilku laty *Ożenek* Gogola (jako impreza aktorska). Tym samym nie byłoby to pierwsze spotkanie Teatru Ludowego z Gogolem, jak to głosi program omawianego przedstawienia.

Wiesław Gorecki



Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 8-59-59

EXPRESS WIECZORNY
WARSZAWA
ABCD

wydanie.....

214 5 - 6. IX. 64

Nr z dn.

7. piątku na niedziele

Jan Brzechwa

26 Gogol zamordowany

SŁYSZELISMY Bacha granego w rytmie nowoczesnego tańca. Znamy „Pigmaltona” i „Poskromienie złośnicy” w przeróbce na musicale. Można ostatecznie z „Hamleta” zrobić coś à la „Arszenik i stare koronki”, gdzie nagromadzenie trupów wywołuje nieodparty efekt komiczny. Jesteśmy przyzwyczajeni do wszelkiego rodzaju eksperymentów. Gdyby jednak spodobalo się komuś „Bitwę pod Grunwaldem” pociąć na małe skrawki, aby następnie skomponować z nich serię malowideł abstrakcyjnych, to takiego barbarzyństwa nawet najbardziej zagorzali obrazopłojca nie uznalby za eksperyment.

A właśnie podobnie barbarzyńskiego zabiegu dopuścił się Teatr Ludowy w Nowej Hucie, który na oczach milionów widzów zamordował Gogola, zarżnął go tym samym nożem.

„Rewizor” – ta jedna z najgentelniejszych komedii świata, przesycona ostrą satyrą, zbudowana bezbłędnie i po mistrzowsku, pełna komizmu sytuacyjnego i finezyjnego dowcipu, w miążących trybach chatupniczej reżyserskiej twórczości przez małe tłu, została unicestwiona.

Nie ma Gogola, nie ma „Rewizora”, jest tylko pomylenie z pomieszaniem i gwoźdź do trumny.

Trudno domyślić się jakie porachunki osobiste miał reżyser i scenograf z Gogolem, może nieboszczyk straszyl go po nocach, dość, że przedstawienie „Rewizora” nosi na sobie wszelkie cechy koszmarnego snu po większym pijaństwie.

Wprawdzie w tekście padają słowa „Petersburg”, „Horodniczy”, „Zagoshin”, „car”, które wyznaczają czas i miejsce akcji, wprawdzie informacja autorska wskazuje dokładnie i to z rysunkami, jak powinna wyglądać scena oraz postacie komedii, jednak

pan Szajna postanowił zadokumentować, że ma w płęcie realia sztuki, jej sens, a przede wszystkim autora i widzów.

Wynikła z tego afery nie do śmiechu.

Zamiast pełnych realizmu postaci oglądaliśmy nibyto symbole, których wytłumaczenia należałoby szukać w poradni zdrowia psychicznego. Zobaczyliśmy więc dwie wariatki z Chaillot, dwie czarownice z Salem, barona cygańskiego z operetki, kilku cyrkowych clownów.

Chlestałow, ten uroczy bliźniak i obięźświat, zrobiony na kierownika geesu, wystąpił we wdzianku pomalowanym w nuty i demole, jakby się urwał z teatryku „Violiniek”. Natomiast Osip, typowy dziewiętnastowieczny służący, paradując w szarym meloniku przypominał do złudzenia Łazuka z piosenki o charlestone,.

Mieliśmy zatem różne odmiany bredni i nonsensu, od których Gogol musiał przewracać się w grobie.

Na tym jednak nie poprzestano. Scenografia bowiem nie odległa od niszczycielskich intencji reżysera.

Zobaczyliśmy tedy kolejno ruiny ostadła po trzęsieniu ziemi, rozrzucone stopy makulatury, potamną lalkę ze śmietnika, naczynia intymnego użytku i kupy złomu. Tak więc, na przykład, kupy, którzy wnosili skargę na Horodniczego, obwieszani byli puszkami: po konserwowej szynce. Czyżby chodziło o aluzję do afery mięsnej? Zresztą wszystkie metafory, którymi usiłował częstować nas pan Szajna były w podobnym guście.

Aktorzy zapędzeni do roboty nad unicestwianiem Gogola, pokrzykiwaniem i zgiełkiem zacierali resztkę ocalałego tekstu i zdrowego sensu.

W końcowej scenie reżyser wykazał niezłomną konsekwencję. Cały zespół wystąpił z gromnicami w rękach, aby żalobną panichlą dopełnić pogrzebowego obrzędu po dokonanej morderstwie.

Eksperyment pana Szajny poniósł kompletne fiasko. Trudno. To się zdarza.

Tymczasem jednak recenzent poważnego dziennika nie powstydził się napisać o tym żalobnym widowisku, że było ono ciekawą próbą, że komedia Gogola nabrąta cech rzeczywiście ludowej burleski, że przedstawienie było konsekwentne w stylu i pomysłowe w inscenizacji.

Reny boskie, ludzie, ratunku!



Jeśli już zacząłem o wadach Polaków, chciałbym rzecz prowadzić dalej. Sądzę otóż, że jedną z najbardziej dokuczliwych naszych wad narodowych jest nieodróżnianie tego, co ważne od tego, co mniej ważne, tego, co pilniejsze od tego, co może jeszcze trochę poczekać. Przykład? Proszę bardzo. Wezmę z powczasowych remanentów. Lubię bowiem o tej porze roku porozmawiać z licznymi bliźniami, którzy mężczyli się wyjazdami a to nad morze, a to w góry, a to nad jeziora. Z rozmów tych układa się swoista, dość jednostronna, ale i ciekawa

panorama naszych osiągnięć i braków.

Otóż, jak wiadomo już z prasy, zarząd naszych kolei przemysłowa nad wydaniem zarządzenia, ustanawiającego w naszych pociągach całkowity zakaz palenia tytoniu we wszelkich postaciach. Dozwolone będzie tylko zapewne żucie tytoniu i niuchanie tabaki jako społecznie nieszkodliwe. Wydałoby się, że zakaz taki dowodzi, iż kolejnictwo nasze jest supernowoczesne, śledzi osiągnięcia medycyny i stosuje jej wskazania. Rzeczywiście zakaz taki byłby posunięciem wiekopomnym. Gdyby jeszcze przy tym wymyślono sposób, w jaki tanio a skutecznie można będzie dopilnować jego wykonania. Ja bo w to wykonanie wątpię. Palenie jest zbyt mocnym i powszechnym nałogiem, żeby sam okólnik mógł się z nim uporać. A jeśli tak, zarządzenia lepiej nie wydawać. Nie ma bowiem społecznie bardziej demoralizujących rzeczy jak bardzo specjalne, a niekiedy potrzebniejsze zakazy, które nie są przestrzegane.

Ze względu na moralność publiczną nie będę przytaczał wszystkich kłatw, które na przykład miotają podróżni warszawskiej Kolei Dojazdowej (dawniej EKD), gdy na stacji końcowej pędzą pochylnią do stojącego pociągu i znikąd nie mogą się dowiedzieć, dokąd ten pociąg i o której odchodzi. Bo dworzec oddano do użytku niedawno, dopiero w

grudniu ubiegłego roku. Więc jeszcze do tej pory nie zdążono tu zainstalować albo właściwie przenieść z dawnej stacji przy ulicy Nowogrodzkiej tablic z zegarami i napisami, informującymi, dokąd dany pociąg idzie i o której odchodzi. Tego rodzaju urządzenia zaś, znakomicie oszczędzające czas i nerwy pasażerów, stosowane są na świecie, zdaje się, że od chwili, gdy w roku 1830 na trasie Liverpool - Manchester ruszył pierwszy pociąg kolei żelaznej, ciągniony machiną parową, zwaną lokomotywą albo parowozem. Nie jestem lekarzem, ale sądzę, iż brak tych informacyjnych zegarów powoduje większą utratę zdrowia pasażerów niż wdychanie przez nich dymu tytoniowego.

Są rzeczy jeszcze gorsze. Otóż nie czekając na ogólnokrajowe zarządzenie, Gdańska Dyrekcja Kolei u siebie już zakazała palenia papierosów, cygar i fajek. Zarządzenie takie wydać łatwo. Wiadomo, potrzebna w tym celu tylko maszynistka i długopis. Natomiast trudniej nieco na terenie tejże dyrekcji zbać dać na przykład stan dworcowych kłozetów. W tej dziedzinie wieści, które mnie dobiegły z Helu, są zupełnie wstrząsające. Po prostu Hel po raz drugi trwa w walce, w ciężkiej i trudnej obronie, tym razem przed nadmiarem ludzkich ekskrementów, zalewających półwysep, a w szczególności ubikacje kolejowe. Otóż jeśli chodzi o działanie tyto-

nu na organizm ludzki, to jego wpływ na powstawanie raka płuc czy schorzenia przewodu pokarmowego stanowi jak na razie jeszcze hipotezę. Natomiast fakt, iż brudy i nieczystości powodują cholere, dżumę, tyfus, żółtaczkę wirusową itp. są to już medyczne dogmaty, znane od lat kilkudziesięciu. Zatem gdańska dyrekcja PKP powinna przede wszystkim zabrać się za te kłozety, a następnie dopiero za palący tytoniu. Tak brzmi nakaz rozsądku. Ba, ale my chcemy być nie-słuchanie nowoczesni. Kłozety niech śmierdzą, niech się z nich ich zartwość wylewa całymi strumieniami, a my zakazujemy palenia papierosów. Ależ, obywatele, zmiłujcie się, do takiego helskiego kłozetu bez papierosa zrobionego z najcięższej machory zawiniętej w gazetę w ogóle wejść nie można!

Napisało mi się to słowo niezwykle szacowne, wokół którego najwięcej dziś w Polsce nieporozumień. Chodzi oczywiście o nowoczesność. O takim ostatnim nieporozumieniu w tej dziedzinie wiele już napisano. A mianowicie o nowohuckim spektaklu *Rewizora*, który nabrał nowego rozgłosu z powodu nadania w telewizji. Wiadomo, co tam Szajna z tym Gogolem nawyrabiał. Ale dodać do wszystkich złorzeczeń należy rzecz zasadniczą. Patrzyłem na to przedstawienie z dużym niesmakiem. Przecież to straszna starzyzna! Takie historie już kilkadziesiąt

lat temu robił Meyerhold i inni. To zaś Szajnowskie przedstawienie wyglądało mi po prostu na parodię Meyerholda. Ta parodia nie jest ani nam potrzebna, ani pamięci Meyerholda, który w owym czasie, stosując podobne chwytły, wnosił do teatru istotnie nowe wartości.

Pan Bober, przemawiając w telewizji przed początkiem przedstawienia, pouczył nas, że odrealniając dekoracje i kostiumy, niwecząc w przedstawieniu Rosję początku wieku XIX, Szajna chciał ukazać wieczne wartości Gogolowskiej satyry. Rzecz ciekawa, że razem z tą Rosją znikł ze sceny i Gogol, i jego satyra. Pozostali biedni aktorzy, miotający się pod batutą złego reżysera. Popelniono tu bowiem błąd zasadniczy, który powinien stanowić ostrzeżenie na przyszłość.

To prawda, że wielka satyra Gogola ma swoje znaczenie ponadczasowe. Tylko że nie ma sposobu, żeby ją z samego utworu wyselekcjonować i nadać jej sztuczne życie w pustce i w oderwaniu od organizmu komedii tak, jak to już robią dziś uczeni z mózgiem małpy. Trudno, musimy się ukorzyć przed siłą realizmu. Wbrew może nawet swej nazwie, realizm *Rewizora* polega na tym, że pokazuje stosunki społeczne, obyczajowe i polityczne pewnego kraju i w pewnej epoce. A mimo to jednocześnie mówi o innych krajach i innych epokach. Znamy i dziś i u

nas postaci jakby z *Rewizora*, powiedzonka z *Rewizora* pasują jakże często do sytuacji współczesnych. Jeśli jednak odebrać Gogolowi jego realistyczną konstrukcję, ginie i satyra. Dlatego, że ów realizm to nie jest jakiś przeżytek, relikwiny przeszłości, ale stalowa konstrukcja, której wielki autor powierzył swoje idee, swój obraz artystyczny. Odrealnić Gogola to to samo jakby *Pana Tadeusza* wydrukować prozą, a *Wojnę i pokój* wydać jako *Druga wojna światowa i walka o pokój*.

Ja bym nie pisał, jak inni, że ten *Rewizor* to po prostu nieudany eksperyment. Boże, błogosław wszystkie eksperymenty, bo nawet te nieudane mają swoje znaczenie. Mamy tu do czynienia nie z czymś nieudanym. Przypomina mi się, co powiedział Talleyrand, gdy go zapytano, co sądzi o rozkazie Napoleona, dotyczącym rozstrzelania księcia Enghien. Powiedział on mianowicie:

— To więcej niż zbrodnia. To błąd. Otóż to. Sądzę, że ten błąd gogolowski każe nam się głębiej zastanowić nad rolą scenografa w naszym teatrze, nad rolą, która uległa mitologizacji. A należy ją urealnić, sprowadzić do właściwych wymiarów i dlatego...

ciąg dalszy nastąpi

JAN SZELĄG

TAK i NIE

(Dokończenie)

Streszczenie odcinka pierwszego: autor felietonu, zastanawiając się nad niektórymi wadami narodowymi Polaków, doszedł do omówienia spektaklu „Rewizora” w realizacji teatru z Nowej Huty.

dlatego byłem chyba jedynym człowiekiem w Polsce, który publicznie wyraził wątpliwość co do słuszności wyboru następcy na stanowisko dyrektora teatru w Nowej Hucie. Jak wiadomo, na miejsce Skuszanki powołano znakomitego plastyka p. Szajnę. Wypowiadając to zastrzeżenie, nie mia-

łem zamiaru wchodzić w kompetencje ani Ministerstwa Kultury i Sztuki, ani Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie. Nie powodowały mną również żadne względy uboczne: p. Szajny nie znam, więc nie jestem z nim pokłócony, nie popierałem żadnego innego kandydata na to stanowisko, ani też sam nie zamierzałem i nadal nie zamierzam go objąć. W tej nominacji jednak wyczuwałem pewne niebezpieczeństwo. Widziałem ukoronowanie niezdrówę według mnie tendencji, dającej zbyt ważne miejsce w naszym teatrze twórcom oprawy plastycznej.

Pewno, teatr współczesny, przynajmniej w niektórych sztukach, jest widowiskiem, w którym strona wizualna odgrywa wielką rolę. Jednak udzielenie pełni władzy scenografowi może naruszyć proporcje poszczególnych elementów, z których teatr się składa. Tak też się i stało w tym *Rewizorze*. Jest to sztuka z tych, w których główne znaczenie ma tekst, a więc i aktor tekst podający. Obraz ma znaczenie mniej ważne. Tego właśnie nie zrozumiał p. Szajna. Ze swymi niezbyt dowarzonymi i niezbyt dowcipnymi pomysłami, korzystając ze swej władzy dyrektorskiej, a na dodatek objawszy komendę reżyserską, wysunął siebie na pierwszy plan — przed Gogola. Gogol został zabity, a Szajna nic na tym nie zyskał. Nie cofajmy się przed uogólnie-

niami, nie traktujmy tego Szajnowskiego *Rewizora* jako epizodu i tylko jako pojedynczego, nieudanego eksperymentu. Sprawa jest przykra, ale sądzę, że p. Szajna zniesie to wszystko po męsku. Wszystko bierze się z owego błędu niewłaściwej nominacji. Po prostu mianowanie scenografa dyrektorem teatru musi sprowadzić nań wielkie niebezpieczeństwa. Nie znaczy to, bym wyłączał możliwość narodzenia się nowych geniuszów, mających zdolności twórcze we wszystkich dziedzinach teatru. Sądzę, że może się pojawić zarówno socjalistyczny Wagner, jak i socjalistyczny Wyspiański. Póki jednak takich nie ma, trzeba być bardzo ostrożnym w powierzaniu kierownictwa teatru. Powołanie Szajny na dyrektora teatru w Nowej Hucie to tak jakby Pendereckiego powołano na kierownika Teatru Narodowego czy Polskiego. Penderecki zdolny, młody, ciekawy kompozytor. Muzyka odgrywa również rolę w teatrze, czasem mniejszą, a czasem nawet większą niż scenografia. Ale to jeszcze nie powód, żeby najciekawszemu nawet muzykowi oddawać władzę nad całością teatru dramatycznego.

Powie ktoś jednak: a Daszewski? Daszewski, najznakomitszy nasz scenograf, był przez kilka lat dyrektorem właśnie Teatru Narodowego i nikt tego nie uważał za coś niezwykłego. Ale bo też wszystko zależy, jaki scenograf. Daszewski sta-

nowi wzór podporządkowania scenografii innym funkcjom i zadaniom teatru.

Nigdy nie zapomnę jako dekoracji chyba najbardziej idealnej jego kompozycji sceny w „Lekko-myślnej siostrze”. Na scenie nic, co by było zbędne, nic w nadmiarze. Tyle, żeby scharakteryzować epokę, tyle, żeby jak najlepiej przysłużyć się autorowi i ułatwić pracę aktorom. Wszystko włącznie z kolorem. Ta dekoracja była bez barw. Dekoracja była szara. A żeby nawet żadna zbyt jaskrawa plama nie maciła tego, czym być miało przedstawienie. Szczyt oszczędności artystycznej, szczyt umiaru i opanowania. Wielkość artystyczna przejawiająca się w umiejętności usunięcia siebie w cień, na drugi plan. Daszewski służy teatrowi. Szajna pragnie, by teatr jemu służył.

Sądzę, iż obaj ci artyści w tej tak trudnej dziedzinie są sobie całkowicie przeciwstawni, ich rozumowanie wychodzi z dwóch całkowicie przeciwnych założeń. Daszewski wychodzi z tekstu sztuki, myśli o swojej służebności wobec teatru i aktorów, i także — co musi się liczyć i co się liczy — wobec widza. Chce mu ułatwić przyjęcie sztuki, nie podstawić siebie na miejsce Gogola, Szekspira czy Mickiewicza. Szajna (i scenografowie jemu podobni) wychodzi z siebie. Chce za wszelką cenę pokazać siebie, na nic się nie oglądając.

Na pewno jest ciekawą indywidualnością, ciekawym artystą. Niezszczęście jego w tym, iż elementy, którymi operuje, że sama scenografia, choćby najgenialniejsza, nie ma siły wypełnienia sobą całego teatru. A jeśli autor zostaje scenografią, dekoracjami i kostiumami zniszczony, jeśli aktor grający Horodniczego ukazuje się w stroju topless z gołym pępkiem, pozostaje tylko Szajna, czyli pustka. W rezultacie ten skromny, opanowany Daszewski odnosi ogromny sukces, a Szajna — klęskę. Sądzę, iż można powiedzieć, iż w sztuce artysta nie powinien siebie dawać za dużo, że nie powinien siebie zbyt nachalnie narzucać odbiorcy. Musi go zwyciężać i zdobywać metodami bardziej subtelny- mi i wyrafinowanymi — i tym skutecznie.

Orgia dekoracyjno-kostiumowa *Rewizora* jest po prostu nużąca. Nie posiada bowiem żadnego artystycznego uzasadnienia poza bardzo staroświecką tendencją epatowania burżujów. Tylko czas by było się spostrzec, że burżujów już prawie nie ma. A wobec tego nie chodzi o epatowanie, ale o zupełnie inne sprawy. Zaczynając się nawet — horribile dictu — od wychowywania widza. Niech mnie ścisną drzwi największego pieca Nowej Huty, jeśli to Szajnowskie przedstawienie może kogokolwiek zachęcić do chodzenia do teatru czy też w ogóle do

zażywania jakichkolwiek dóbr kulturalnych.

Jak to więc mówią w „Rewizorze”?

— Aleksander Macedoński wielki człowiek, ale po co zaraz krzesła łamać.

Właśnie, Szajna ciekawy plastyk, ale dlaczego zaraz ma być reżyserem i dyrektorem teatru.

A co do Telewizji. Otóż przy okazji pokazania tego „Rewizora”, dawniej Gogola, obecnie Szajny, sypnięto na Telewizję garść przekleństw. Że po co, że dlaczego, że skandal. Jestem pierwszy, który chętnie swoje dołoży, gdy Telewizję biją słusnie. W tym wypadku jednak będę jej bronić. To bardzo dobrze, że dała to przedstawienie. Niech wszyscy widzą, do czego dochodzi. Powiada się, że rzeczywistości w Telewizji nie należy pokazywać w sposób jednostronny, od strony polukrowanej. Dlaczego więc tylko w dobrym świetle. Dobrze, żeśmy zobaczyli, co się dzieje w Nowej Hucie, nie tylko tam, gdzie dzielni hutnicy wykonują i przekraczają plany. Że zobaczyliśmy, co się tam dzieje w teatrze. Bo, jak powiedziano w ramach festiwalu telewizyjnego, każdy teatr pokazuje to, co uważa dla siebie za najbardziej reprezentatywne. Teraz już wszystko wiemy.

JAN SZELAĞ

ARCHIWUM
P. TEATRU NARODOWEGO
W NOWEJ HUCIE

Nr poz. 47



RADIO I TELEWIZJA
Warszawa

wydanie

Nr 36 z dn. 30. VIII 64

FESTIWAL TEATRALNY

LUCJAN RYDEL

ZACZAROWANE KOŁO

Lucjan Rydel jest dla wielu przede wszystkim Panem Młodym z „Wesela” S. Wyspiańskiego, postacią nieco humorystycznie choć zarazem i serdecznymi rysami nakreśloną. Tak jak to często by-

wa, siła sugestii dzieła literackiego i przekazów wspomnieniowych (znana „Plotka o „Weselu” T. Boya-Zeleńskiego) zamazały portret Rydla, jednej z bardziej znanych postaci Krakowa przełomu XIX i XX wieku. Autor licznych wierszy lirycznych, dramatów, szkiców literackich i historycznych, człowiek głęboko wykształcony, tłumacz literatury klasycznej, był Rydel związany wieloma więzami z życiem literackim i kultu-

ralnym swojej epoki. Z dużego dorobku literackiego trwałą wartość i żywotność zachowało jednak tylko niewiele utworów — oprócz liryków, które dziś stanowią prawie wyłącznie dokument rozwoju naszej poezji — właściwie tylko baśń dramatyczna „Zaczarowane koło”. Otrzymał za nie pierwszą nagrodę na konkursie dramaturgicznym I. Paderewskiego w roku 1899. W tymże roku „Zaczarowane koło” zostało wystawione w Krakowie w znakomitej obsadzie, dość wspomnieć, że w spektaklu brali udział tacy

sławni aktorzy, jak m. in. Kotarbiński, Stepowski, Siemaszkowa, Solski, Węgrzyn. Sztuka była potem wielokrotnie grana, stała się jedną z najbardziej popularnych pozycji repertuaru tego typu. Sygnalizował w niej Rydel do ludowych opowieści o diabłach i ich niecnych czynach, o ich ofiarach, o sile zła i zwycięstwie prawości i serca. A także pieśni, prostej pieśni ludowej. Ona to bowiem ostatecznie uchroni przed zakusami czartów Macjusia, ona okaże się największą wartością. **B.B.**

MIKOŁAJ GOGOL

REWIZOR

„Z kogo się śmiejecie? z siebie się śmiejecie.” Ile razy powtarzamy te słowa nie pamiętając lub zgola nie wiedząc, że nimi zamyka Gogol swoją genialną komedię „Rewizor”. Śmiech odgrywa w tym utworze rolę szczególną. Jest to jednak — jak określał sam Gogol — „śmiech poważny”. „Zrozumiałem, że w utworach moich śmieję się na próżno, bez celu, sam nie wiedząc po co. Jeżeli śmiać się, to już śmiać się mocno i z tego, co rzeczywiście za-

sluguje na ośmieszenie. W „Rewizorze” postanowiłem zebrać razem wszystko co szpetne w Rosji”. Tak określił pisarz pobudki napisania tej sztuki. Pomysł podsunął mu Puszkina w roku 1835. Sztuka została rychło napisana i rzucona niemal na wyzwanie zniechęconemu przez Gogola światu samodzierzawnej Rosji. „Wszyscy dostali tu w skórę, najwięcej zaś — ja.” Tak skwitował ją car Mikołaj I. Fabuła „Rewizora”, zaczerpnięta z tradycji komedii pomyłek, odgrywa rolę poboczną. Jest tylko pretekstem. Znamy ją zresztą chyba wszyscy. Jest prosta i w istocie nawet uboga, choć obfituje w

liczne niespodzianki i pomysły. Przybywający do małego miasteczka młody człowiek zostaje wzięty za rewizora a potem wreszcie, choć zbyt późno — zdemaskowany. Ot i wszystko. Tylko jednak na pozór. Fabuła jest tu bowiem tylko kanwą, na której rozpostarł Gogol obraz współczesnych mu stosunków społecznych, tylko pretekstem do pokazania rzeczywistości w całym jej ponurym komizmie, rzeczywistości przerażającej się poprzez absurdalność rządzących nią praw w koszmar groteski. Historia o jednym, mało ważnym zdarzeniu staje się wielkim uogólnieniem, wielką metaforą, nabiera poprzez szerokość swoich per-

spektyw myślowych i genialność artystycznej wizji, rangi wielkiego dzieła. „Rewizor” wszedł na stałe do światowego repertuaru. Jest pozycją uznaną, klasyczną. I tak jak inne dzieła klasyki pobudza do poszukiwań, prowokuje ludzi teatru do eksperymentu. Wyrazem tych poszukiwań jest spektakl Teatru Ludowego w Nowej Hucie, który zarówno czytelników Gogola jak i widzów żytych z tradycyjnym kształtem spektakli „Rewizora” może zaszokować swymi rozwiązaniami i propozycjami, u podstaw których leżała próba przybliżenia, odczytania na nowo tego znakomitego dzieła. **B.B.**

Telewizyjnego

FESTIWALU

ciąg dalszy

JANUSZ SEGIEŃ

ARCHIWUM
P. TEATRU LUDOWEGO
W NOWEJ Hucie

Nr poz.

Druga połowa Telewizyjnego Festiwalu Teatrów Dramatycznych (o pierwszej pisałem 22 sierpnia), upłynęła pod znakiem skandalu. Postarał się o to Teatr Ludowy z Nowej Huty, a ściślej inscenizacja „Rewizora” Gogola, przygotowana przez Jerzego Szajnę, dyrektora, reżysera i scenografa w jednej osobie. Sprawa stała się głośna, wywołała tyle prasowych replik, że nie ma potrzeby szczegółowo jej powtarzać. Przypomnijmy tylko kilka faktów.

Szajna, który jest świetnym scenografem, chociaż często w przeszłości pozwalał ponosić się swej wybujałej fantazji, wskutek czego dekoracje przytłaczały i pochłaniały całe przedstawienie (ktoś zauważył wówczas, że przedstawienie zostało „przeszajnowane”), tym razem wznosił się na szczyty takich praktyk. Jego „Rewizor” został już nie tylko „przeszajnowany”, co wprost pogrzebany. Z Gogola zostało w nim niewiele, znikło konkretne, społeczne ostrze komedii, bohaterowie w cudacznych strojach w niczym nie przypominali dobrze znanych osób sztuki: Horodniczego Chlestakowa... Była to antypropaganda klasyka rosyjskiej dramaturgii i antypropaganda teatru w ogóle, teatru o określonej konwencji, realistycznego, mocno siedzącego w realiach epoki i środowiska.

Nie wolno, oczywiście, odmawiać Szajnie prawa do własnej koncepcji „Rewizora”, do widzenia komedii na swój sposób, ale miejsce do takich eksperymentów jest na jakiejś małej scenie, dla wąskiego grona fachowców, czy... snobów, nigdy przed milionowym audytorium telewizji. Szkoda więc, że w programie interesującej imprezy, jaką jest festiwal telewizyjny, przegląd najlepszych przedstawień, a jednocześnie będących codzienną strawą bywalca teatrów, znalazł się ten cudaczny „Rewizor”, dający ludziom nie znającym sztuki, fałszywe wyobrażenie o Gogolu i jego dramacie.

Nieco wcześniej, tuż przed nowohuckim „Rewizorem”, widzieliśmy Teatr Stary z Krakowa z inscenizacją najnowszej sztuki Jerzego Broszkiewicza „Koniec księgi VI”. Warto chwilę zatrzymać się przy tym przedstawieniu, bo dramat bliski nam i ziemi olsztyńskiej. „Koniec księgi VI”, to sztuka o Koperniku, o ostatnich chwilach genialnego uczonego, spędzonych we Fromborku, o pracy nad końcowymi fragmentami dzieła „O obrotach ciał niebieskich”. W dorobku Broszkiewicza nie jest to utwór najmocniejszy, mało sceniczny, prawie bez akcji, oparty wyłącznie na dialogu, rozgrywany na dwóch planach: w domu Kopernika we Fromborku i na dworze biskupa Dantyszka. Symultaniczny tok wydarzeń, bardzo trudny do zrealizowania w teatrze, na ekranie telewizora dobrze zdawał egzamin, kamery chwytaly po prostu na przemian tę część sceny, na której toczyła się rozmowa. Sztuka Broszkiewicza została dobrze wybrana dla telewizji.

Nieźle prezentowały się następujące spektakle festiwa-

lu. Uważam, że z wyjątkiem nieszczęśliwego „Rewizora”, druga połowa przeglądu była ciekawsza, bardziej wyrównana.

Na początku września oglądaliśmy teatr z Lublina, wystawiający dramat Lucjana Rydla „Zaczarowane koło”. Sztukę grał przed laty teatr olsztyński. „Zaczarowane koło”, to ludowa opowieść, pełna swoistego uroku, w której elementy baśni i fantastyki (czarty, czary, prorocтва) mieszają się z problematyką moralną, ze sprawami zła, jego skutków, przyczyn i następstw. Jedyną grywana dziś sztuka Rydla — bardziej chyba znanego z... „Wesela” Wyspiańskiego, któremu Rydel posłużył jako pierwowzór do postaci Pana Młodego, niż dzięki własnej twórczości otrzymała staranną reżyserię Brauna i dobre aktorstwo.

Z powodzeniem wystartował w festiwalu teatr poznański. Pokazano nam adaptację opowiadania Dostojewskiego „Wieczny małżonek”, unikliwe studium psychologiczno-obyczajowe na temat zazdrości i nieważności. Był to spektakl bardzo bliski Dostojewskiemu, subtelny, unikający jednoznaczności, stawiający pytania, nie podsuwający gotowych odpowiedzi, jednocześnie wypełniony niepokojem, napięciem. Zawsze to aktorom kreującym postacie dwóch rywali. Józef Fryźlewicz i Henryk Machalica dali prawdziwy koncert gry.

Przed tygodniem widzieliśmy teatr z Kalisza. Sztukę „Pokój z niekrępującym wejściem” napisał młody pisarz z NRD Gert Hoffman. Ta zreżymowana groteska, będąca wielką metaforą okoliczności sprzyjających powstaniu nie mieckiego faszyzmu, godna była pokazania. Z przedstawienia wyjrzała twarz wygodnego mieszczaucha skłonnego dla własnej wygody zrobić wszystko, nawet sprzedać najbliższych.

Wczoraj, a więc już po uprzednio zapowiedzianym zakończeniu festiwalu na szklanym ekranie, łódzki Teatr im. Stefana Jaracza dał (tylko nie w Olsztynie, bo znów coś nawaliło w przekazniku. Skandal!) piękną komedię Szekspira „Wieczór trzech króli”. Czyżby Festiwal Telewizyjny przekształcił się w instytucję stałą? Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie, bo chociaż przegląd dorobku scen terenowych uznać należałoby za pomysł bardzo szczęśliwy, to jednak wszelka przesada jest niewskazana. Nie zapominajmy, że sezon artystyczny rozpoczęty i Teatr Telewizji szykuje własne, specjalne spektakle telewizyjne. Jeden z tych spektakli — komedię Janusza Warmińskiego „Człowiek z głową” oglądaliśmy w miniony poniedziałek. Ale to już inne zagadnienie.

listy DO
DZIENNIKA

Gdyby Gogol
to zobaczył...

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!
Pozwalam sobie przekazać, gwoli ostrzeżenia, moje osobiste wrażenia z wątpliwej przyjemności oglądania w dniu 31 sierpnia br. doskonałej komedii Gogola „Rewizor”, którą obdarzył nas teatr z Nowej Huty.

Może należą do tych, którzy nie mają zrozumienia dla tzw. „nowych prądów”, może jestem zacołany, może jestem wreszcie zbyt stary na dzisiejsze czasy, sądzę jednak, że takie widowiska powinny być wyeliminowane z telewizji. Niech patrzą na nie widzowie w teatrze, to przynajmniej nie będzie powszechnego szarpania nerwów.

Nie było to widowisko teatralne, lecz po prostu makabra. Nie mogą zrozumieć, jak można było spartolić klasycyzm sztuki, aż do tego stopnia. Przecież „Rewizor” znany jest niemal na całym świecie, jako doskonała sztuka, ujmująca satyrycznie ówczesne stosunki w carskiej Rosji. Tymczasem reżyser zrobił z tej sztuki dziwoląg, jaki może się tylko przyśnić w niespokojnym śnie.

Co miały znaczyć stopy porozrzucanych gazet, co miały znaczyć kostiumy przyozdobione pończochami, a nawet składające się z samych pończoch, wystający pepek Chlestakowa, wianienki - nasiadówki, sztuczna koza, czy pies? Kupy z pustymi puszkami po szynce, i to puszkami produkowanymi w Polsce mieli widocznie za zadanie propagowanie zbierania złomu, bo trudno to inaczej wytłumaczyć.

Pajacowate skoki aktorów, chrapliwe krzyki, rozrzucanie paplarków po scenie, śmietnik, niesamowite stroje grających, żabot z firanki, niedopasowane peruki — wszystko to złożyło się na obraz godny pędzla Goya w pijanym wydaniu. I karmi się telewizorów takim wykonaniem, wydaje się niebagatelne kwoty na bardzo wątpliwej wartości dekoracje, po to chyba, by reżyser miał satysfakcję, że wystawiono sztukę w „jego ujęciu”. Wyobrażam sobie co byłoby z nim, gdyby tak Gogol zobaczył swoją sztukę w tym ujęciu!

M. G.
Strzybnice

P. S. Wraz ze mną sztukę tę oglądali cudzoziemcy. Musiałem się wstydzić przed nimi za ten dziki, niesamowity prymityw i zwyrodnienie, jakie oglądaliśmy 31 sierpnia anno domini 1964.

ARCHIWUM
P. TEATRU LUDOWEGO
W NOWEJ HUCIE

Nr poz. 47

ARCHIWUM
P. TEATRU LUDOWEGO
W NOWEJ HUCIE

Szanowny Panie Dyrektore!

W walaczeniu przesyłam Panu ~~ryzyknie~~ ⁴⁷ „Gazety „Dziennik Zachodni” do przeczytania i ewentualnej poprawy w wystawianiu sztuk na przyszłość. Całkowicie podpisuję się pod tym artykułem, gdyż ten oglądałam tę sztukę w telewizji. Wzaram, że była ona wystawiona chyba dla wariatorów, a nie dla ludzi normalnych. A jeśli chcecie zmieścić ludzi do teatru, to wystawiajcie sztuki w ten sposób jak to zrobiliście ze sztuką Gogola „Rewizor”. Ja na przykład będę miała dość teatru na dobrych parę miesięcy.

M. G.
Strzybnice.

Strzybnice 17 września 64r.

GRANICE EKSPERYMENTU

Dzieli nas dystans dwóch tygodni od chwili, gdy Teatr Ludowy w Nowej Hucie wystąpił w ramach Telewizyjnego Festiwalu Teatralnego z komedią Mikołaja Gogola „Rewizor”, w inscenizacji, reżyserii i scenografii Józefa Szajny. Początkowo chciałem o tym napisać w sposób żartobliwy, gdyż odkrywcza i nowatorska koncepcja Szajny zasługuje właściwie na wykpienie. Kiedy jednak w jednej i drugiej gazecie recenzenci pochwalili „świeżość spojrzenia” na wybitny utwór gogolowski, zrozumiałem, że sprawa jest poważna i kpinkami wykpić się nie można. Jeden jedyń Jan Brzechwa miał odwagę powiedzieć na łamach „Expressu Wieczornego”, że król jest nagi, czyli że zamordowano Gogoła tępą brzytwą w długich (nie krótkich) abugach.

Józef Szajna postanowił uwspółcześić satyrę Gogola. Jak stwierdził w słowie wstępnym Jerzy Bober, inscenizatorowi chodziło o to, ażeby „Rewizorowi” nadać wymowę ogólnoludzką czyli pozabawić go historyzmu i lokalnego kolorytu rosyjskiego, co — jak dowodził dalej Bober — podniesie rangę satyryczną tej komedii. Nie lubię, gdy podnosi się rangę satyryczną komedii najwyższego lotu, bowiem doświadczenie uczy, że dobry autor zawsze wie lepiej, niż niejeden reżyser świeżo upieczony, jakim jest Józef Szajna. Cóż więc zrobił Szajna, jakich użył środków dla nadania „Rewizorowi” aktualnej, dzisiejszej wymowy? Zabudowa przestrzeni scenicznej przypominała rupiecziarnię, a raczej obórę, do której przez szpary w deskach, zaglądali aktorzy czy krówki już śpią, czy też jeszcze przeuwają wieczorną strawę. Zamiast krzesel lub foteli, zastosował rewelacyjny twórca widowiska „nasiadówki” dla chorych na hemoroidy. Horodniczy miał na sobie coś w rodzaju fraka czy surduta, który odsłaniał goły

brzuch i widoczny nawet na źle odbierających ekranach telewizyjnych pępek aktora. Córka Horodniczego, obwieśzona szmatkami i pończochami, spod których wizerowały „pejzaże striptisowe”, była dziwołagiem ze szpitala wariatów, kupcy poobwieszani puszkami po konserwach, naczelnik poczty, zasypujący scenę i współgrających papierzyškami i wszyscy pozostali stanowili najbardziej przekonujący dowód, że twórca przedstawienia nie miał żadnego wyobrażenia o tym, do czego się zabrał. „Rewizor”, jakiego zobaczyliśmy w telewizji, był wyprany z wszelkiej satyry, i historycznej i ponadczasowej, bezlitosnie ostrze gogolowskie nie tylko ściepiono, ale w ogóle nie pozostało zeń ani śladu. Całe przedstawienie, było nieszkodliwa, wariacka burleska, która w nie godzi, niczego nie potępia, nie wstrząsa i nie rozśmiesza. Dawno widzowie nie oglądali nic równie żalostnego. Pomijam już fakt, że w tym telewizyjnym „Rewizorze” Chlestakow nie istniał. A przecież Chlestakow w intencjach autora jest główną postacią komedii. I takich Chlestakowych mieliśmy wtedy w Rosji wielu i mamy ich dziś, w naszym wieku dwudziestym, pod dostatkiem u nas i gdzie indziej. Wystarczy czytać gazety, by wiedzieć jak grasują w miastach i miasteczkach współcześni Chlestakowie. Nie z tego, absolutnie nic, nie przedostało się do inscenizacji Szajny. Sądzę, mało, jestem przekonany, że nowoczesność, której próbkę dał nam Szajna w „Rewizorze”, jest wymysłem ludzi, którzy padli pastwą automistyfikacji.

Inszenizacja Józefa Szajny może służyć za punkt wyjścia do dyskusji, jak eksperymentować nie należy. Istnieją granice, których nie wolno przekroczyć. Tymi granicami jest dobry smak, logika utworu, jego zawartość ideo-

wa i artystyczna, względ na walory estetyczne i literackie dzieła. Za najgorszych czasów schematyzmu zmieniano zakończenia sztuk, by nadać im odpowiedni wydźwięk, grano dramaty „przeciwko autorowi”, co przejawiało się m. in. w tym, że sympatycznych arystokratów czyniono antypatycznymi nawet z wyglądu, a chłopków-roztropków (np. w „Spazmach modnych”) usiłowano awansować do roli bohaterów pozytywnych. Ale wszystko to było kaszką z mlekiem w stosunku do tego, co przed dwoma tygodniami zademonstrowała telewizja krakowska. Nasuwa się w związku z tym jeszcze jedna uwaga. Jakże bezradna jest nasza krytyka! Recenzenci teatralni albo nabierają wody w usta, albo kontentują się zdawkowymi komplementami. Któż bowiem śmiałby skrytykować nowoczesne pomysły inscenizacyjne? Przypomina mi się następująca anegdota o Boyu. Siedział on na jakimś przedstawieniu i obserwował grę jakiegoś aktora. W pewnej chwili nachylił się do sąsiada i zapytał: „A może to nie aktor?”

Czy niedobrze byłoby postawić sobie czasem takie pytania: a może to nie reżyser? a może to nie inscenizator? a może to nie nowator? W chwilach, gdy zawodzi zmysł krytyczny, dobrze jest odwołać się do zdrowego rozsądku. Zaledwie parę dni temu w ramach tego samego festiwalu telewizyjnego Teatr Polski w Poznaniu nadał „Wiecznego małżonka” Dostojewskiego w inscenizacji i opracowaniu młodego reżysera Stanisława Brejdyganta. Porównajcie, proszę, te dwa spektakle. W „Wiecznym małżonku” prezentuje reżyser konsekwentny zamysł, cała sceneria podporządkowana jest głównej idei sztuki i przedstawienia. Można się z Brejdygantem zgadzać lub nie, ale jednego niepodobna mu odmówić: wiedzy o tym, czego chce i do czego zmierza. A jest to także reżyser młody, z aspiracjami do nowoczesności, ożywiony pasją szukania nowego i odkrywania nowego w starym. „Rewizor” był dnem festiwalu. Niżej upaść nie można.

Tydzień na małym ekranie

Nowatorski „Rewizor“

Systematycznie prezentowany I Telewizyjny Festiwal Teatralny przynosi nie tylko przykre, lecz i nieprzyjemne niespodzianki. Może zbyt wcześnie jeszcze na generalną ocenę całej imprezy, lecz wydaje się, że już teraz mówić możemy o „Rewizorze“ Gogola jako o jednym z najciekawszych spektakli ostatnich tygodni. Dla tych, którzy pamiętają „Rewizora“ ze scen lub z lektury — przedstawienie Teatru z Nowej Huty w reżyserii i scenografii J. Szafny — stanowiło prawdziwe zaskoczenie.

Przywykliśmy bowiem do tego, że inscenizatorzy rozgrywają sztukę z gogolowskiego repertuaru w tradycyjnej i ściśle określonej konwencji. Z inscenizacją Teatru z Nowej Huty można się zgadzać lub nie zgadzać — niewątpliwie jednak świadczą ona o ambicjach i twórczych poszukiwaniach. W linii artystycznej spektakl nawiązywał do innych zupełnie niż dotychczasowe — tradycji. Pozbawiony „rosyjskiej“ specyfiki przypominał raczej utwory w rodzaju „Króla Ubu“ Alfreda Jarry'ego. Tak odczytany, podbudowany specjalną scenografią, kostiumami o bardzo „uniwersalistycznym“ charakterze — nabrał poczciwy „Rewizor“ nowych zupełnie barw, wyeksponował na plan pierwszy treści intelektualne, z satyry obyczajowej przekształcił się w rodzaj ogólniofilozoficznej, gorzkiej bufonady. Tej świeżej i nowatorskiej koncepcji towarzyszyła nader sprawna reżyseria i świetna gra aktorów — przy czym prawdziwą kreację stworzył Franciszek Pieczka w roli Horodniczego. On też był — a nie Chlestałkow — bohaterem nowohuckiego spektaklu.

Teatr „Kobra“ wystąpił w ubiegłym tygodniu z przedstawieniem pt. „Pociąg widmo“ w reżyserii J. Kulczyńskiego. Tekst początkowo zapowiadał ciekawsze rozwiązanie niż to, z którym zetknęliśmy się pod koniec. Na uwagę zasługuje bardzo ładna praca operatorów kamer — lecz skąd zrodziło się u aktorów i reżysera mylne przekonanie, że właściwy, pełen emocji klimat, osiąga się najlepiej przy pomocy historycznych urzasków? Dawno już nie oglądaliśmy programu tak bardzo hałaśliwego...

Nie sprawiają nam zawodu programy filmowe telewizji. Cześć namy wprawdzie nadal na obiecywane od dawna serie telewizyjne własnej produkcji — jako że pomysłowość amerykańskich twórców „Dr Kildare“ dawno już się chyba wyczerpała, lecz tymczasem, zarówno cykl poświęcony 20-leciu filmowemu PRL, jak znakomita „Chwila wspomnień“ oraz niezawodne „Kino krótkich filmów“ należą do naj-

ciekawiej redagowanych audycji telewizyjnych. „Kino krótkich filmów“ zmieniło wprawdzie za stawkę — ale ostatni program, prowadzony przez Lecha Pijanowskiego mógł zadowolić najwyższych kinomanów. Obejrzelśmy dwa nowe polskie filmy dokumentalne, związane tematycznie z rozpoczynającym się rokiem szkolnym, lakonicznie i sensownie omówione. Pierwszy z nich — to filmowana z ukrytej kamery etiuda na temat przerwy szkolnej, etuda w której udało się uchwycić bogatą gamę zachowań dzieci — w drugim filmie przedstawiono natomiast sceny z egzaminów maturalnych. Obydwa mogą być cennym głosem w dyskusji o formie szkolnictwa, o reformie egzaminów dojrzałości.

W sobotę, w reżyserii Olgi Li pińskiej oglądaliśmy kolejne wydanie magazynu rozrywkowego „Miks“. Wydaje się, że ta audycja nadal nie może znaleźć właściwych rozwiązań. Jej koncepcja nie jest oparta o żaden pomysł tematyczny, a jedynie zasadza się na kontynuowaniu pewnych formalnych „odcinków“. Efekty są nie najlepsze — ponieważ autorzy z góry zmuszeni są do pisania tekstów pod owe zaplanowane już „odcinki“. Widocznie nie starcza im przy tym pomysłowości, albowiem poziom owych tekstów budzi niekiedy znaczne zastrzeżenia. Nie pomaga przy tym udział czołwki aktorów z Alina Janowska włącznie. Po prostu audycja jest jakimś złym „numerem“, które również dobrze można w nią włączyć jak i z niej wyrzucić. Brakuje dobrych piosenek — to prawdziwy paradoks. Że najprzyjemniej ogląda się nadal odcinek zatytułowany „Z minionych lat“ a będący po prostu odgrzewaniem starych i najstarszych szlagierów.

Katowice wystąpiły z przyjemnym koncertem rozrywkowym, zatytułowanym „Wszystkiego po trochu“. (Któż to notabene upadł na humorystyczny pomysł podzielenia tytułu w czołwce na sylaby?)

W koncercie wystąpili piosenkarze — z wyjątkiem M. Świącieckiego — mniej znani ogólnopolskiej widowni. Ale główną zaletę audycji stanowiło jej tempo, żywość, sprawny montaż, wreszcie ładne i lubiane melodie. Na marginesie zauważmy jednak, iż w związku z dyskusją o tym, czy piosenkarze nasi powinni śpiewać piosenki w obcych językach czy nie — problem nie tkwi w groźącym nam impornie „obcego słowa“. Problem tkwi wyłącznie w tym, aby teksty owe śpiewane były poprawnie i z tak zwanym dobrym akcentem. A to właśnie stanowiło słabą stronę — przyjemnego zresztą — koncertu.

26

KTT Litość i trwoga MAJSTEREK W TEATRZE

W telewizji trwa od pewnego czasu ogólnopolski festiwal teatralny. Jest to, praktycznie biorąc, przeważnie festiwal sztuk Brozskiewiczza i zdumiona publiczność dowiadyuje się w ten sposób, ile zupełnie nieznanymi sztuk będzie miał kiedyś w swoim dorobku ten utalentowany autor. Obok Brozskiewiczza jednak mamy okazję podziwiać w ramach telewizyjnego festiwalu również i kilku innych autorów, a nade wszystko sporo zupełnie nieznanymi teatrów. Przed każdym widowiskiem specjalny komentator wprowadza nas w arkana mającej nastąpić sztuki, po każdym widowisku pani Edyta Wojtczak stawia niedyskretne pytanie, jak się nam to podobało, domagając się odpowiedzi na piśmie. Ten ostatni warunek jest o tyle zrozumiały, że odpowiedzi udzielane ustnie mogłyby obrazić powszechne poczucie przyzwoitości.

Trudno natomiast opisać, co dzieje się w trakcie trwania widowisk festiwalowych, tak więc poprzestaną tylko na jednym z tych przedstawień, w czasie którego rozmawia znajomi dzwoni do mnie bez przerwy, jak do straży pożarnej, z czego z dumą wywnioskowałem o pewnej popularności „Szpilek” wśród ludzi inteligentnych.

Działo się to, oczywiście, w czasie przedstawienia „Rewizora” w inscenizacji, reżyserii i — jak się wydaje — z tekstem pana Józefa Szajny z Teatru Ludowego z Nowej Huty.

Pan Szajna zaprezentował się wielomilionowej publiczności telewizyjnej jako człowiek wszechstronnie utalentowany. Talent, posiadany w miarę, nie szkodzi nawet w największych ilościach, jednakże gdy się go przedawkuje działa zabójczo. Wystawiając „Rewizora” Szajna zdradził objawy nieuleczalnego zatrucia talentem. Od wielu lat oglądaliśmy na scenach jego dekoracje, których nowość polegała na tym, że przeważnie były takie same lub podobne, to znaczy zawsze coś bardzo brudnego i podartego zwisało nad sceną i szmaty te, w zależności od tekstu sztuki, raz wyobrażały pramroki słowiańszczyzny, raz rozkład sanacyjnej władzy, kiedy indziej znów niebo na Capri. Publiczność pogodziła się z tym niewinnym hobby artysty, zdając sobie sprawę jak trudno jest o własny styl w sytuacji, kiedy wszystko już zostało wynalezione.

Przedstawienie „Rewizora” jednak wskazuje, że sprawa się pogłębia. Wprawdzie szmaty zostały zastąpione przez deski, natomiast brudy i śmiecie dotarły już obecnie do podłogi sceny, na której przez cały czas trwania spektaklu walają się jakieś papiery, odpadki i farfocle, symbolizując, oczywiście, brud moralny czasów carskich. Zaśmieszenie sceny jednakże nie zaspokoilo widocznego żarłocznego talentu pana Szajny, który tym razem sięgnął po reżyserię, traktując ją w duchu eksperymentalnym.

Jestem wielkim zwolennikiem eksperymentów, wydaje mi się jednak, że da się tu rozróżnić co najmniej dwie kategorie działalności eksperymentalnej. Istnieją więc eksperymenty, mające na celu wynalezienie czegoś, czego jeszcze nie było albo też popsuć czegoś, co już istnieje i zupełnie niezłe funkcjonuje. Wydaje się, że warto eksperymentować nad wynalezieniem pojazdu szybszego od światła, natomiast nie rokuję wielkiej przyszłości eksperymentom, zmierzającym do wypróbowania możliwości poruszania się samochodu bez kół. Nie dlatego, oczywiście, by ta druga kategoria dociekań nie mogła nasunąć wielu arcyciekawych spostrzeżeń, tylko dlatego, że, jak dotychczas, samochód na kołach zupełnie przyzwoicie odpowiada swemu przeznaczeniu. Odnosi się to również w całej rozciągłości do gogolowskiego „Rewizora”, jednej z najświetniejszych w końcu sztuk w repertuarze światowym. „Rewizor” należy do tych utworów scenicznych, w których wszystko jest napisane — a więc zarówno kiedy rzecz się dzieje, jak i po co się dzieje i kto w niej bierze udział. Niestety, właśnie takie utwory — podobnie jak precyzyjne zegarki, pudełka samogrające oraz wszelkie inne dobrze działające mechanizmy — powodują najczęściej niezdrową ciekawość i chęć majsterkowania wśród domorosłych eksperymentatorów. Efektem takich poczynań jest przeważnie popsuć mechanizmu, rozłożenie go na części składowe, które następnie odnosi się do mechanika.

Pan Szajna bardzo dokładnie rozebrał „Rewizora”, rozebrał go do tego stopnia, że na scenie, jak się rzekło, pozostały jedynie śmiecie i deski, a Horodniczemu widać było pępek, zamiast jednak ze wstydem odnieść te żaloszne szczątki do naprawy, odniósł je do teatru, a następnie do telewizji. Jest w tym, trzeba przyznać, pewna bezczelność. W końcu nie trzeba zapominać, że jesteśmy ludźmi zajętymi i nie do nas należy składanie tego, co pan Szajna, pod przemożnym ciśnieniem swego talentu, zdecydował się popsuć.

Zresztą inscenizator nowohuckiego „Rewizora” sam poczuł się chyba pod koniec lekko zawstydzony i w ostatniej scenie swego widowiska wprowadził — wśród ogłuszających ryków gigantofonu — jakiegoś małego chłopca, starając się widać na niego zwrócić uwagę za całe nieporozumienie. Jeśli jednak zlicić tak bezkarnie majstrując w teatrze, jest to również winą dyrekcji i proszę się tak głupio nie tłumaczyć.

PS. Uważam również, że w teatrze nowohuckim należy stanowczo naprawić maszynię. Zgrzyty, chrzęsty i łomoty, dochodzące zza sceny, przeszkadzają słuchając tekst Gogola. Tak jak przeszkodziły one panu Szajnie skupić się nad reżyserią.



GŁOS WIELKOPOLSKI POZNAŃ

wydanie A

Nr **209** z dn. **3. IX. 64**

TELEWIZJA

Teatralna bania

Tragiczna, 25 rocznica września znalazła w TV swe odbicie. Tydzień temu wysłuchaliśmy ciekawej, chociaż ze względu na krótkość trwania programu, zbyt mało pogłębionej, dyskusji pt. „Przed wrześniem”, prowadzonej przez K. Lubelczyka. Wiele spośród poruszanych tu spraw zdołano tylko zasygnalizować, co zresztą trudno uznać za zarzut. Zabrakło może jednego programu, takiego, który by uprzytomnił różnicę w sytuacji ówczesnej i dzisiejszej Polski. We wtorek oglądaliśmy na ekranie wiec ludności Warszawy, wysłuchaliśmy przemówienia Premiera rządu PRL. Jeszcze raz naród polski i jego rząd dali wyraz swej niezłomnej woli pokoju, a równocześnie jeszcze raz przypomniał światu potworne zbrodnie hitleryzmu, o czym programowo zapominają pewne koła imperialistyczne. Wieczorem dziennik TV nadał świetny i przejmujący reportaż filmowo-dokumentalny o Wrześniu 1939 r.

W poprzedniej recenzji wytknęliśmy Telewizji nie bez powodów duże ubóstwo programu i zatykanie luk kiepskimi na ogół filmami. Sytuacja uległa znacznej poprawie, o czym świadczą liczne pozycje publicystyczne i prawdziwa powódź pozycji teatralnych.

Przypomnijmy poprzedni tydzień: w poniedziałek Teatr TV wystawił pełen ironii „Przyczynę do podróży Cooka” J. Giraudoux w reżyserii A. Hanuszkiewicza, w czwartek „Kobra” dała nam bardzo interesującą sensacyjną i do ostatniej chwili trudną do rozszyfrowania sztukę A. Ridley'a „Pociąg widmo”, której walory life-rackie podkreśliła zrečna reżyseria J. Kulczyńskiego i dobra gra aktorów z doskonałym Stanisławem Niwińskim w roli inspektora. W piątek, w ramach I Telewizyjnego Festiwalu Teatrów, zobaczyliśmy z Teatru Starego w Krakowie „Koniec księgi VI” J. Broszkiewicza w reżyserii J. Grudy. Sztuka ta, ciekawa, prowokująca,

ukazała dramat wielkiego Kopernika, którego odkrycie było przecież wówczas rzuceniem wyzwania utartym wierzeniom, było buntem przeciw epoce. Spektakl krakowski, choć trudny do odczytania, wypuklił te właśnie momenty sztuki Broszkiewicza. Wreszcie w ostatni poniedziałek gościł na ekranach Teatr Ludowy z Nowej Huty z „Rewizorem” M. Gogola w reżyserii i scenografii J. Szajny. Była to chyba najciekawsza, a równocześnie najbardziej szokująca wystawiona sztuka z dotychczas oglądanych podczas I Telewizyjnego Festiwalu. „Rewizora” wielu z nas oglądało już nieraz. Ale to przedstawienie było zupełnie inaczej wyreżyserowane i inscenizowane. Jest dowodem twórczych poszukiwań i eksperymentów Teatru w Nowej Hucie. Stary, klasyczny, mający od dawna swe miejsce w repertuarze światowym Gogol został tym razem pokazany w sposób bardzo odbiegający od dotychczasowych szablonów. Jednym mogło to się podobać, innym nie. Sztuka nic przy tym nie straciła ze swej czytelności; przeciwnie — spektakl przestraszał ponury komizm i koszmarną groteskowość stosunków panujących wśród urzędniczych kół Rosji pierwszej połowy XIX wieku, które tak prosto i genialnie ukazał autor.

Początek roku szkolnego skwitowała TV obszernym lecz niewiele nowego wnoszącym programem pt. „Przed pierwszym dzwonkiem”. Bardzo dobrze natomiast wypadły piątkowe „Telekorespondencje”, program zrobiony na podstawie listów widzów skarżących się na różne niedociągnięcia i braki w handlu, służbie zdrowia itp. Ciekawa to i pożyteczna inicjatywa, godna kontynuowania i udoskonalania. Wyróżnijmy jeszcze program o Arnoldzie Zweigu z cyklu „Portrety”, dobre sprawozdanie z zawodów hipicznych w Budapeszcie i katowicki magazyn Postępu Technicznego.

Wymieńmy wreszcie (ale jako curiosum) niedzielny film fabularny produkcji USA pt. „Gertie szuka szczęścia”. Film co prawda nakręcono przed 33 laty i może wówczas miał powodzenie. Ale wyświetlenie w 1964 roku takiej chały, to co najmniej nieporozumienie.

MARIAN FLEJSIEROWICZ



Horodniczy z gołym brzuchem czyli nie dajmy się zwariować...

O D paru tygodni trwa I Telewizyjny Festiwal Teatrów Dramatycznych. Kilkanaście scen pozawarszawskich prezentuje w nim swoje najnowsze, będące aktualnie w repertuarze, albo dopiero co zgrane spektakle. Co by się zlego o tej imprezie nie powiedziało (a mówiło się sporo: bo to i dobór przedstawień dość przypadkowy w przekroju całego festiwalu, z wyraźnym ciężeniem ku klasyce, i niedostatek telewizyjnej adaptacji, niezbędnej przy tego rodzaju przedsięwzięciu itd. itd.), to jednak daje ona widzowi pewne — choć fragmentaryczne — pojęcie o naszym życiu teatralnym poza stolicą, szansę konfrontacji, poznania różnych koncepcji reżyserskich, stylów inscenizacyjnych.

Z tymi koncepcjami różnie bywało. Zdarzały się i takie, które budziły uzasadnione wątpliwości (np. „Popioły” Zeromskiego w postaci luźnych scen dramatycznych przedstawione przez teatr wrocławski). Rzecz jednak w końcu normalna. Nie

zawsze wszystko musi się świetnie udać, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z tak obszernym, nielato poddającym się adaptacji materiałem literackim. Nie sposób jednak podobnie rozgrzeszyć autora „nowej” inscenizacji „Rewizora” Gogola, transmitowanej w poniedziałek z Teatru Ludowego w Nowej Hucie. Proszę mnie źle nie zrozumieć: nie nawołuję do przesadnego, akademickiego pietyzmu wobec tzw. starych mistrzów, nie mam nic przeciwko tzw. szarganiu świętości, jeśli to szarganie jakimś rozsądnemu celowi lub zgoła tylko dobrej zabawie służy. Niestety, szarlataniście pomysły znanego plastyka Józefa Szajny — który poprzebierał bohaterów Gogola w spodnie-waciaki, córce Horodniczego (bardzo ładnej i utalentowanej aktorce) kazał wystąpić w strzępach lachmanów, samemu Horodniczemu obnażył brzuch, całą zaś scenę przekształcił w rupieciarnię — nie mają nic wspólnego ani ze zdrowym rozsądkiem, ani rozrywką. Szajna pozbawił sztukę Gogola

i humoru, i ostrości satyrycznej, i wszystkiego innego, co w niej było cenne i interesujące. Pozostała żałostna, denerwująca błazenada.

Inscenizator i jego zaślepieni apologeti usiłują co prawda wzmocnić widzowi „odkryczość”, „nowatorstwo”, „nowe odczytanie starej komedii”. Dziwne tylko, że nie potrafią wyjaśnić sensu tego nowatorstwa, podłożyć coś bardziej konkretnego pod te wytarte slogany, które nic już dziś nie znaczą. „Rewizor” w wydaniu Szajny to nie tylko nieporozumienie, nie tylko błąd, pomyłka. To coś więcej. To prywatna zabawa inscenizatora — zabawa smutna, żenująca, przygnębiająca — urządzona kosztem i Gogola, i biednych aktorów, którym kazał się wygłupiać, i przede wszystkim widza. Mówi się w takich wypadkach, że autor przewraca się w grobie z oburzenia. Mniejsza o autora; potrafi się obronić. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że paru milionom widzów, a przynajmniej przeważającej ich części, która nigdy w życiu „Rewizo-

ra” na scenie nie widziała, ta inscenizacja odebrała raz na zawsze chęć obcowania z jednym z najpopularniejszych dzieł światowej dramaturgii. I jeśli spektakl nowohucki jest morderstwem z premedytacją na Gogola, to pomysł włączenia go do festiwalu telewizyjnego — co najmniej pomyłką. Znajdzie się zapewne kilku snobów, cmokierów, którzy bronie będą „odkryć” Szajny, mam jednak nadzieję, że reszta nie da się zwariować, że potrafi odróżnić eksperyment prawdziwy, służący rozwojowi sztuki, od fatalnej manieri — pseudonowoczesności, pseudooryginalności — która się w Teatrze Ludowym załęgła.

Któryś z wielkich ludzi teatru powiedział kiedyś: broń mnie, Panie Boże, przed reżyserami, którzy miewają „pomysły”.

Zwłaszcza takie, których świadkami byliśmy w poniedziałek.

Natomiast kawałkiem autentycznie nowoczesnego teatru — i w konstrukcji dramatycznej, i w sposobie rozwiązań sytuacji scenicznych — był klarowny, dobrze zagrany spektakl „Końca księgi VI”, nadany w ramach wspomnianego festiwalu z Teatru Starego w Krakowie. Ta mądra sztuka Jerzego Broszkie-wicza, poświęcona Kopernikowi, bodaj najlepsza z tego co ostatnio napisał, w inscenizacji krakowskiej znalazła adekwatny do walorów tekstu kształt sceniczny. Było to jedno z najlepszych z dotychczasowych przedstawień telewizyjnego festiwalu. JERZY ELJASIAK

Wieczory przy telewizorze

Większość widzi po raz pierwszy

I TELEWIZYJNY Festiwal Teatrów Dramatycznych przetransmitował nas na widowiska teatrów w różnych częściach Polski. W ciągu ostatniego tygodnia dwukrotnie byliśmy „u podnóża Tatr” — w Krakowie i w Nowej Hucie.

Teatr Stary z Krakowa przedstawił sztukę Jerzego Brzozkiewicza pt. „Koniec księgi VI”, natomiast teatr z Nowej Huty — „Rewizora” Gogola.

Już same nazwiska autorów odpowiednio wposabiają odbiorców. Teoretycznie w pierwszej sztuce (współczesnego autora) można być przygotowanym na wszelkie nowatorstwo. Praktycznie — sztuka druga — obrosła doskonałą tradycją teatralną, gwarantuje śmiech, wynikający z jej celnego realizmu.

Tymczasem stanęliśmy przed niespodzianką, ale niespodzianką gatunku pośledniego. To, co miało być w TV udostępnieniem dla 5 milionów (!) doskonałej satyry Gogola, zamieniło się w zupełnia wypaczony, niepodobny gogolowskiemu obraz, po którym ten, kto widział „Rewizora” po raz pierwszy, może śmiało postawić parę pytań nie pozbawionych zdrowego sensu (trzeba pamiętać o tym, że „widownia” telewizyjna składa się w przeważającej większości z tych, którzy... widzą po raz pierwszy).

Przykładowo, jedno z takich pytań brzmi: — Dlaczego zamiast córki Horodniczego, pannę palącą się do małżeństwa, prymitywnej i głupawej, kazano nam oglądać dziwną rusalkę? Następnie: — Dlaczego Horodniczy cały czas biegł z gotym brzuchem? I dalej: — Dlaczego zamiast „rewizora”, cwaniaka ku tego na cztery nogi, który nabił w butelkę całe miasteczko, pokazano nam głupawego łowelasa, a do tego kazano jeszcze wierzyć, że to właśnie on nabral szacownych obywateli.

Można by te pytanie mnożyć w nieskończoność. Największą uszakę krzywdą wyrządzoną Gogolowi wydaje się absolutne zrównanie występujących postaci do wielkiego tłumy. Przecież „Rewizor” aż pęka w szwach od kapitalnych indywidualności. Do dzisiejszego dnia powołujemy się

na jego bohaterów i to w słowniku dnia codziennego. „Dawajcie tutaj Tiapkina Liapkina” — jest już prawie przysłowiem, ale gdyby oprzeć się tylko na nowohuckiej inscenizacji, to — jako żywo — zupełnie nie wiadomo, kogo „dawać” i po co?...

Wydaje się, że Festiwal Teatrów Dramatycznych, impreza wielce korzystna i ciekawa, jedno z najbardziej udanych przedsięwzięć telewizyjnych ostatnich miesięcy, upoważnia nie tylko do typowania sztuk i aktorów, ale jeszcze do czegoś więcej. Właśnie ze względu na swoją wagę. Upoważnia przede wszystkim do zastanowienia się, jakie przedstawienia zostały do festiwalu zakwalifikowane. Operując się na przeglądzie dotychczasowym — nie tylko wyróżniające się w repertuarze poszczególnych teatrów. A więc dlaczego?

Na to pytanie może odpowiedzieć tylko „sztab” festiwalu i sądzimy, że zostanie nam to ujawnione jeszcze przed przydziałem laurów i wawrzynów.

Pytanie jest bowiem niepokojące. Bo — na przykład nie wiadomo dlaczego Teatr Stary z Krakowa wystąpił w festiwalu właśnie z „Koncem księgi VI”, ze sztuką wcale nie doskonałą, przegadaną, nudną, z której nawet talent aktorów nie mógł wykrzesać prawdziwego konfliktu, który w samym założeniu powinien być wystarczająco dramatyczny. Ze wystąpił ze sztuką super-nietelewizyjną, w której główną rolę trzeba chyba przyznać... kamerze, wędrującej nieustannie z wyżyn na niżiny.

Również nie wiadomo, dlaczego np. teatr z Gdańska wystąpił z wcale nie najlepszym przedstawieniem Szekspira, podczas gdy ma do pokazania tak udane (podobno) przedstawienie, jak „Komu bije dzwon” Hemingwaya.

Na pociechę pozostało nam z ub. tygodnia radosne przeświadczenie, że co jak co, ale „Kobara” staje się znowu niezawodna. „Pociąg widmo” Ridleya zaliczyć trzeba do widowisk udanych, które — nawet jeśli się je zna ze sceny — oglądało się z przyjemnością.

I. RADLIŃSKA



SŁOWO Powszechne
WARSZAWA

wydanie **B**

20 25 - 26. 1. 64

Nr..... z dn.

Nowohucki „Rewizor”

Z teatru

Sporo wrzawy wywołało to przedstawienie „Rewizora” w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie. I szkoda, że wrzawa i epitetami zastąpiono rzeczową dyskusję i obiektywną ocenę spektaklu. Zasluguje na taką dyskusję z dwu powodów: jest to na pewno interesująca, acz równie na pewno dyskusyjna w reżyterskim zamierzeniu i niezbyt szczęśliwie zrealizowana propozycja „współczesnienia” Gogola, wyjścia ku współczesnemu uogólnieniu z kregu historyczno-obyczajowej rekonstrukcji. A zasługuje to przedstawienie na rzeczową dyskusję i troskliwy obiektywizm także i dlatego, że mamy tu do czynienia z rzadkim raczej, a chyba pożądanym zjawiskiem: spotkania się w jednej osobie — i reżysera i scenografa, twórcy tej rangi i specyfiki artystycznej, co Józef Szajna, od nowego sezonu dyrektor i kierownik artystyczny Teatru Ludowego w Nowej Hucie.

Jego dotychczasowa twórczość scenograficzna wywodziła jak wiadomo sporo kontrowersji przede wszystkim tej natury, że tworzył często obok autora, obok reżysera, a niekiedy i wbrew nim, że jego plastyczna wizja sztuki rzadko pokrywała się z wizją inscenizatora i reżysera. I oto — debiutując jako reżyser — miał możliwość uniknięcia tej dwoistości, jak orzed nim Frvcz, jak Iwo Gall, jak Kantor.

Czy tej uniknąć? Ale przedtem pytanie bardziej zasadnicze dla tych rozważań: do czego sroawada się propozycja Szajny? Daje na to odpowiedź ostatnia scena przedstawienia, zaskakująca orwinalnością i śmiałością ideowej puenty, nad którą bledził nie dawno krytyk „Życia Literackiego”:

po zapowiedzi przez megafon o przybyciu prawdziwego rewizora wchodzi na scene mały chłopiec, w schludnym ubranku. Akcent zaskakujący — przyjemnie zaskakujący — nie tylko ze względów estetycznych. Bo trzeba tu uzupełnić, że scena zarzucona jest starymi gazetami, pełno tu śmieci, a podlegli Horodniczemu urzędnicy bytują — w siennikach-śpiworach. Wszvstko tu brzydkie, tak jak ci ludzie. I nagle ten mały, przyjemny chłopczyk. Ale nie chodziło tylko rzecz jasna o efekt estetyczny. W reżyzerskim zamierzeniu „mały chłopczyk” to normalny człowiek, a mały wydaje się ledwie w zestawieniu z tymi nadętymi kukłami. Tak to odebrałem. Oczywiście w tradycyjnej, wiernej historycznemu wizerunkowi inscenizacji, można pokazać nowego rewizora np. z druga doczepioną barą rak (na ławóki) — sprawa zaczyna się od początku, koło się zamyka. Ale Szajna zmusza Gogola, by mówił do współczesnych o brzydkiich sprawach współczesności. Myśle, że ten drugi rewizor u Szajny, to mógłby być jakiś wysoki inspektor NIK, spadający na jedno z tych naszych miasteczek, gdzie klikowość i kacykowstwo trudno jeszcze uważać za „relikty przeszłości”.

I nie Szajna — „koncepcjonista” ponosił tu (częściowo) porażkę, ani Szajna — scenograf, lecz Szajna — reżyser. Większość wykonawców nie potrafiła czy też nie chciała podporządkować się jego zamierzeniom nadrzędnym, grając obok czy nawet przeciw ideowej koncepcji przedstawienia. Niektórym widzom to się podobało, bo w ich mniemaniu częściowo chociaż „ratowało Gogola”, jak np. kreacja Fran-

ciszka Pieczki, który gra Horodniczego w zasadzie w tradycyjnej konwencji Gogolowskiego realizmu komediowego. Inni — różnie: jest komedia, jest farsa, jest groteska, jest burleska, są różne połączenia i cieniowania tych gatunków, i to w ramach poszczególnych postaci, niewyklarowanych do końca. Tak jest m. in. z córka Horodniczego Marią ((Anna Lutosiawska).

Sporo i dyskusyjny jest Chlestakow Józefa Wieczorka, za bardzo tekstowo okrojony, bliższy Horodniczemu niż Chlestakowowi — jego służący Osip (czytelnie, ale nie w „Szajnowskiej” konwencji gra go Ferdynand Matysik), podobnie jak żona Horodniczego Anna (Bronisława Gerson Dobrowoiska).

Kilka dobrych pomysłów inscenizacyjnych i plastycznych Szajny. W sumie jednak — wyraża, jak zwykle, Gogol, który nie z takich już odresji na naszej powojennej scenie wychodził zawsze zwycięsko.

Końcowy morał: zgoda na eksperyment, jeśli służy on określonej idei, zdynamizowaniu i uczynieniu treści, co było zamierzeniem Szajny. Tylko jedna poważna wątpliwość: czy takie go Gogola trzeba pokazywać właśnie w Nowej Hucie? (Tu zaczęłaby się od początku zażarta dyskusja, ale to już inny problem).

STEFAN POLANICA

*) M. Gogol — „Rewizor”. Przeł. J. Tuwim. Reżyseria i scenografia J. Szajna. Premiera w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie.

ARCHIWUM
P. TEATRU LUDOWEGO
W NOWEJ HUCIE

Nr poz. **47**